W NUMERZE M. IN: M. Bechczyc-Rudnicka — NIE MA PRZEDAWNIENIA, K. Bielski — PSEUDO: „SERCE", K. A. Jaworski — ZOBACZ NEAPOL i... ŻYJ, J. Koniusz — WYCIECZKA ZA RÓWNIK, R. Rowiński — POLSKA RZECZ NAD ODRĄ

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 28.IX.1969. Nr 20 (427) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

W 30-lecie bitwy pod Kockiem

STRUNY PAMIĘCI

Matylda Wełna

PRZYJAŹŃ? Owszem piękna to rzecz, jeżeli ma się szczęście. Było ich dwie. Dwie skromne, skrzętne, pracowite kobiety. Uczyły w jednej szkole. Chciały jakoś zabezpieczyć sobie przyszłość i wymyśliły te dwa bliźniacze domy na skraju Kocka — żeby być blisko siebie, a jednak każda na swoich śmieciach. Kupiły ziemię, sadziły drzewa, żywopłoty. Domy wyrosły okazałe, z mieszkalnymi poddaszami. Ich drewniane ściany są szare, przydymione, jak mgławy nalot na dobrze dojrzałych węgierkach. Środkiem działki prowadzi tam droga wąska między ścianami strzyżonej grabiny. A podwórze jest wspólne, na lewo — do Leokadii Taczalskiej (nie żyje) na prawo — do Apolonii Rzymowskiej. W swoich pięknych domach nauczycielki gromadziły książki, ludowe kilimy i makaty, rodzinne fotografie, pachnące zasuszone kwiaty. Wieczorami, jak to w tym zawodzie, ślęczały nad kajetami. Tak było, dopóki w polskie życie nie gruchnął piorun i nie zburzył wszystkiego. Apolonia uczy czterdzieści lat języka polskie i historii. Leokadia była, zdaje się, matematyczką. Odgrodziły się od miasteczka sporą odległością, miesiły więc błoto latami, ale teraz (bodajże w ubiegłym roku) władze miejscowe nakazały wybrukować tę ulicę, wysadzono ją klonami. Może to nie przypadek, że wybrano właśnie tę, a nie inną. Wszak prawdą jest, że przyjeżdżają tutaj wojskowi i fotografują, utrwalają zmarszczki starej kobiety, dom, otoczenie...

Patrzę na nią. Otyła, nobliwa. Siwe, krótko przycięte włosy. Worki pod oczyma i worki na szyi. Bardzo wymowne są te oczy, od razu pełne łez na wspomnienie tamtych dni sprzed trzydziestu laty. Teraz jest to zupełnie samotny, opuszczony człowiek, wówczas miała przy sobie matkę, Marię Rzymowską, oraz siostrę, Zofię Gorczyńską. O, jak one się przydały! Szczególnie najstarsza z kobiet wykazała niewyczerpaną energię. Dziwiono się, skąd miała tyle siły.

— Tu był szpital polowy, a u Lodzi kwatera sztabu (pewnie któreją z większych jednostek zgrupowania, może 178 pułku piechoty, który krwawił na okolicznych polach — przyp. mój). Rannych było dużo. Znosili i znosili. Rany ich były ciężkie. Odwołałam się do moich kolegów. Jan Bodnar, Jan Ptasiński, nauczyciele, cały czas w szpitaliku pomagali. Lekarza nie było, miał pełne ręce roboty gdzie indziej. Ranni leżeli na łóżkach, na podłodze, gdzie się dało we wszystkich pokojach i w sieni. Moja matka nie odchodziła od nich. My z siostrą tośmy się nawet bały. Gdy Niemcy wymacali siedzibę sztabu i obrzucili pociskami artyleryjskimi, uciekłyśmy do piwnicy, a matka nie. Ani na chwilę. Starała się o żywność, gotowała, karmiła, zmieniała opatrunki, czuwała dzień i noc. Niestety, dużo zmarło. Owijaliśmy w koce, w płaszcze i chowali na cmentarzu parafialnym. A ja wyjmowałam dokumenty, różne drobiazgi, rodzinom na pamiątkę. Pociski leciały gęsto, jeden otarł się o róg stodoły, na szczęście nie wybuchł, potem Niemcy go rozbroili. Weszli. Dwu z naganami przed domem i ludzie zaniemówili. Ten, który umiał po polsku, pyta: dlaczegoście się bili? Za ojczyznę jesteśmy gotowi życie oddać — powiedziałam mu, a matka z miejsca: co będzie z rannymi? Było ich tu ze trzydziestu. Niemcy zabrali część do szpitala do Radzynia, część podobno do Dęblina...

Znacie Kock. Przydrożna mieścina z agresywnym kwietnikiem na rynku. Ale z szacunkiem do Kocka. Mnie o jego przeszłości zrobił wykład kierownik szkoły, Henryk Mierzwiński, szperający za materiałami do monografii. Więc to jest bardzo stara miejscowość, początkami swymi sięga ponoć zamierzchłych czasów półdzikich Jadźwingów, którzy tu mieli swoje bóstwo — „Kuczko" albo „Kocko", stąd nazwa. Tutaj też chowali

Dokończenie na str. 6

nadodrze

„Polska jest jedna" — pod takim wezwaniem „Nadodrze" prezentuje poszczególne regiony kraju. W numerze 15 z 19.VII—1.VIII ten interesujący, głęboko tkwiący w problematyce swego terenu, dwutygodnik Ziemi Lubuskiej poświęcił cztery strony materiałom przygotowanym przez redakcję „Kameny". Dziś, z okazji zielonogórskiego Winobrania, staramy się zrewanżować Kolegom z drugiego krańca Polski. W bieżącym numerze „Kameny" przedstawiamy panoramę województwa zielonogórskiego zakrojoną przez pióra pisarzy i publicystów „Nadodrza". Sądzimy, że w ten sposób zbliżymy do czytelników „Kameny" zarówno Ziemię Lubuską jak i jej czasopismo.

Uderzenia zegara

Henryka Doboszowa

JAKIE jest to miasto, o którym teraz w kraju i na świecie mówi się głośno w związku z wielką hutą, najnowocześniejszą w Polsce hutą miedzi? Ono było dawno, zanim „wybuchła" miedź. Jego karta bohaterska, zapisana w najdawniejszej kronice Polaków przez Galla Anonima, stanowiła symbol niezłomnej polskości, opierającej się niemieckiemu najeźdźcy. To miasto nazywa się Głogów. Dziś jako jedno z ogniw Zagłębia Legnicko-Głogowskiego jest znakiem nowoczesności kraju. Bieg burzliwych wydarzeń, historycznych i współczesnych, osnuł je szczególną legendą, splatając sprawy dawne i dzisiejsze w jednolicie polski fresk.

* * *

Na początku lutego 1945 roku zbankrutowani autorzy zbiorowego szaleństwa jeszcze raz w tej wojnie rzucili fanatyczne wyzwanie logice dziejowej. Ludności obiecano, że po trzech dniach potęga sowieckich wojsk połamie sobie zęby na twierdzy Glogau i obróci się w proch. Po sześciu tygodniach oblężenia, 1 kwietnia nad ranem, Festung Glogau wywiesiła białą chorągiew. Nie było już miasta. W parku obsypanym wczesną zielenią stanął obelisk z czerwoną gwiazdą. „Chwała radzieckim żołnierzom 3 armii poległym w boju o Głogów".

Na prawym brzegu Odry gotycka kolegiata odsłoniła w rozdartym bombą wnętrzu murów romańskie absydy piastowskich kościołów. Wojna rozwiązała polski język tej ziemi. Legenda łączy kolegiatę z wojenną zawieruchą roku 1109. Świątynię ufundował Bolesław Krzywousty jako pomnik wdzięczności mężnym mieszczanom. W dziejach taktyki wojskowej rok ten upamiętnił się, zawdzięczanym Henrykowi V odkryciem zgoła nowoczesnym, które w owych czasach walki fair play zbulwersowało rycerską moralność Europy. Dzieci wzięte na zakładników popędzono pod mury obleganego miasta, by wytrącić ojcom broń. W tej partii niemiecki cesarz przeliczył się, mierząc siły wagą oręża i przebiegłością strategii, bo przeciwnik bił się o wartość ostateczną. Osiem wieków potem niemiecki führer powtórzył ten sam błąd, choć znakomicie wyspecjalizował metodę. Od 1939 do 1945 roku pomysł z zakładnikami powielano w kilku wersjach. W głogowskim zamku, pamiętającym Piastów, mieścił się obóz dla tych dzieci polskich, których czaszka, uszy i nos mieściły się w kryteriach rasy „Ubermenschów". Miały one perspektywicznie osłodzić wodzowi i teoretykowi wstydliwe kłopoty z własną twarzą. Stąd po wstępnych badaniach kidnaperzy przewozili wybrańców losu do Wilkowa na stosowną edukację. W miejscowej gospodzie, gdzie sprzedaje się teraz kawę i gazety w ramach powszechnej akcji „kultura na wieś", odebrana rodzicom Elżbietka Kubica z Zabrza grała pijanym dozorcom na skrzypcach. Gdy zaspokoili swój głód muzyczny, rzucali jej cukierka. Na apel ogłoszony przez Głogowskie Towarzystwo Kultury, nadeszły listy z kraju i zagranicy, zgłosili się świadkowie, w przybliżeniu udało się odtworzyć codzienną treść zaaranżowanego eksperymentu. Po powstaniu warszawskim, gdy na zabawę w czystość rasy nie było już czasu, regularnie uformowane kolumny szły na miejsce straceń koło Ruszowic. Zginęło wtedy wielu małych warszawiaków. I tu ugrzęzły transporty z Zamojszczyzny.

Tak oto zmodernizowany w duchu czasu potworny fajerwerk spiął jakby klamrą dwa odległe sobie wydarzenia. Między nimi zamyka się historyczny obraz miasta, które wzmiankowane było w piśmiennictwie jako urbs po raz pierwszy w roku 1010 z okazji wojen, choć z własnej woli znacznie chętniej oddawało się zajęciom codziennym: rodzeniu dzieci, uprawie roli, budowaniu domów i kościołów, a głód bogactwa zaspokajało w pomyślnym handlu. Ale historia lubiła tutaj inscenizować sytuacje dramatyczne, ludzie usiłowali więc im sprostać w miarę własnych wyobrażeń.

* * *

W czterdziestym piątym, jak przyjeżdżali tu różni obejmować władzę, jeszcze raz się potwierdziło, że do bohaterstwa nie trzeba większych predyspozycji, że bohaterów tworzą okoliczności. Jeńcy z brzuchem przyschniętym do kręgosłupa, wyrobnicy od bauerów, ryzykanci, rozbuchani od strzelania chłopcy z lasu, wszyscy oni zostali postawieni wobec zadań na wyrost. Pośrodku martwego wyrębu po wielkim lesie. Wzdłuż ulic, rozbrojonych z elektryczności, z poszarpanymi arteriami wodociągów i rur gazowych, z 1870 domów zapisanych w dokumentach administracji miejskiej ocalało 16, lecz nie nadawały się do zamieszkania. Nad Głogowem wisiał zaduch z nie pogrzebanych ciał, niemal widoczny w rozgrzanym powietrzu, i cisza, ścinająca krew. Ludzie wspominają z trwogą, że wróble nie świergotały. Leśnicy mówią, że taka ziemia jest ciężko chora. Zgłodniałe psy i szczury wyłażące spod rumowisk niosły strach epidemii. Franciszek Caputa, lwowiak z urodzenia, kreowany komendantem powiatowego posterunku milicji, tkwił w tym pejzażu jako forpoczta porządku i prawa, które dopiero miało nastać. On też osobiście udzielił niemieckim matkom, hołubiącym w rodzinnych albumach zdjęcia synów łobuzersko uśmiechniętych na tle szubienic, poglądowej lekcji dialektyki, przykazawszy im prać i prasować cluchy dla znużonych repatriantów zza Buga i ran-

Dokończenie na str. 8

teatrnn.pl

Jerzy Eugeniusz Płomieński

PRASA codzienna doniosła o śmierci Jerzego Eugeniusza Płomieńskiego (1893—1969). Dzisiejszemu czytelnikowi prasy literackiej zapewne niewiele już to nazwisko mówi, sądzę też, iż niewielu młodych pisarzy umiałoby powiedzieć, kto odszedł w osobie J. E. Płomieńskiego. Powiedzmy więc od razu: odszedł jeden z wybitniejszych krytyków okresu międzywojennego i jeden z czynniejszych w pierwszych latach po wojnie.

Rozpoczął Płomieński swoją karierę pisarską od broszury „Problemy pracy w „Przepiórce" (1926), w której autor przeciwstawił się obiegowym sądom o tej sztuce Żeromskiego. Wznowienie broszury po wojnie dowodziło, że stanowisko Płomieńskiego w tej sprawie nie przestarzało się. W tej książce krytyk odsłonił wiele swoich cech, które wyróżniały go w przyszłości. Płomieński okazywał zawsze wielką niezależność swoich poglądów i swego stanowiska nie taił, nie formułował dwuznacznie. Wręcz przeciwnie! Całe życie walczył z narzucanym przez Warszawę modelem życia literackiego, oburzało go, że było ono podporządkowane rytmowi mód i nowinek, opierało się na wynoszeniu na szczyty kolejnych sezonowych wielkości, faworyzowało ludzi ze swojego klanu. W zwalczaniu tych objawów miał świetne towarzystwo Karola Irzykowskiego. O autorze „Walki o treść" napisał Płomieński esej wspomnieniowy zatytułowany „Na stepie wojennej z dwiema epokami". Tytuł, który jakże trafnie określa sytuację samego Płomieńskiego jako krytyka.

Upominał się stale o wartości niesłusznie spychane na boczny tor lub skazywane na zapomnienie. Stąd ciągła walka o miejsce dla wybitnego krytyka lwowskiego, Tadeusza Dąbrowskiego, i najciekawszego polskiego twórcy fantastyki literackiej — Stefana Grabińskiego. Przejmujący i dramatyczny los tego pisarza przedstawił w szkicu „Suweren polskiej fantastyki literackiej" w książce „Twórcy bez masek" (1956). Był jednym z pierwszych, którzy — acz z zastrzeżeniami — docenili znaczenie twórczości S. I. Witkiewicza.

Płomieński był świetnie oczytany w literaturze polskiej i obcej, znał dobrze współczesną problematykę filozoficzną i socjologiczną, miał więc szerokie i niezależne spojrzenie na to, co dokonywało się w ówczesnym pisarstwie.

Niezależność Płomieńskiego jako krytyka przybierała kształt szczególny. Okazywał on temperament urodzonego polemisty, był zadziorny, skory do sprzeciwu i opozycji. Stanowisko to było jednak solidnie podbudowane, a polemika odbywała się z zachowaniem zasad dobrej gry. Włączył się też do głównych ówczesnych sporów, między innymi w polemice między T. Boyem-Żeleńskim a K. Irzykowskim. Płomieński opowiadał się raczej po stronie autora „Pałuby". I nic dziwnego. Miał on również umysł racjonalisty, był krytyczny i podejrzliwy wobec zbyt głośno reklamowanych wartości, nieustępliwy w dochodzeniu swoich racji krytyka. Świadectwem tego jest interesujący tom szkiców „Szukanie współczesności" (1934).

Po wojnie Płomieński pozostał pisarzem czynnym, ale — z wielu powodów — znajdował się na uboczu. Opublikował tom szkiców z historii i literatury „W kręgu polskiej irredenty" (m. in. o E. Dembowskim i J. Szeli) oraz tom esejów i wspomnień „Twórcy bez masek", przy którym A. Hutnikiewicz nie bez racji przywoływał dla wskazania na pewne cechy wspomnień — A. Grzymałę-Siedleckiego. Z inicjatywy Płomieńskiego powstała (redagowana przez niego i T. Kotarbińskiego) zbiorowa książka „Stanisław Ignacy Witkiewicz. Człowiek i twórca" (1957), podstawowa dla badań nad tym pisarzem, dla oświetlenia jego życia, filozofii i twórczości.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż istnieją momenty, wiążące Płomieńskiego z Lubelszczyzną. Ongiś drukował swe prace krytyczne w redagowanym przez F. Araszkiewicza dodatku literackim „Ziemi Lubelskiej", zaś w czasie wojny przebywał w Puławach, większą część okupacji przeżył na wsi pod Hrubieszowem u Ścibor-Rylskich. Odwiedzał wówczas nieraz w Szczebrzeszynie Zygmunta Klukowskiego, gdzie prowadzili długie i serdeczne rozmowy, które podtrzymywały wiarę w przyszłość i pozwalały pracować. O spotkaniach tych pisze Klukowski w swoim „Dzienniku z lat okupacji". Przez ostatnie natomiast lata przyjeżdżał Płomieński co roku do Nałęczowa, gdzie często można go było spotkać na spacerze po alejach parkowych lub na ławce przed pałacem. Łatwo i chętnie dawał się wciągać w rozmowę o dawnych czasach i pisarzach a także o współczesności literackiej, której uporczywie dotrzymywał kroku.

T. K.

Kultura 1969

Zmarli

◆ Maria Kelles-Krauzowa, wieloletnia członkini Związku Literatów Polskich, wybitna tłumaczka.

Literatura

◆ Jak wynika z publikacji Śląskiego Instytutu Naukowego i Wydawnictwa „Śląsk", śląskie środowisko literackie może się pochwalić twórczością 51 literatów, a także żywymi kontaktami ze wszystkimi ośrodkami kulturalnymi w kraju.

◆ PIW opublikował „Śpiewnik podróżny i domowy" — wybór wierszy Leopolda Lewina i Pawła Hertza, zawierający wiersze z lat 1935—67.

◆ Nakładem „Iskier" ukazał się zbiór słuchowisk radiowych w wyborze Jerzego Krzysztonia. Jest to pierwsza tego rodzaju książka w Polsce, utrwalająca tak ulotne utwory, jak słuchowiska, nadawane w ramach Studia Współczesnego Teatru Polskiego Radia.

◆ Ukazało się już czternaste z rzędu — licząc od pierwszego w roku 1907 — wydanie „Życia polskiego w dawnych wiekach" Władysława Łozińskiego. Są to urocze gawędy o zwyczajach i obyczajach, pałacach i zamkach, dworach i dworkach, o tańcu, modzie, sztuce, podróżach.

◆ Stefan Majchrowski w świeżo opublikowanej książce „Taniec nad jeziorem" pokazuje życie codzienne, obyczaje i wierzenia plemion lechickich z okresu Karola Wielkiego, a więc z okresu przedhistorycznego Polski.

◆ Znany literat bydgoski Marian Turwid wydał nakładem „Wydawnictwa Morskiego" książkę „Dwie strony drogi". Ukazuje ona losy wielu patriotów polskich w Wielkim Księstwie Poznańskim oraz w okresie Powstania Wielkopolskiego.

◆ Jeszcze w 1941 r. pisarz radziecki Włodzimierz Bielajew w gruzach Lwowa odnalazł anonimową, wydaną w czasie konspiracji książkę „Śpiew wojny", zawierającą wiersze autorów polskich. Mówił o tym w czasie zjazdu literatów ziem zachodnich i północnych w Katowicach w 1958 r. Wtedy zgłosił się pierwszy autor — Aleksander Baumgarten. Obecnie „Litieraturnaja Gazieta" przyniosła artykuł Bielajewa, w którym podaje on nazwiska dalszych autorów (ale nie wszystkich): Tadeusza Hollendra, Stanisława Rogowskiego, Jerzego Hordyńskiego i Mirosława Żuławskiego.

◆ W związku z 45 rocznicą śmierci Anatola France'a, uroczyście obchodzoną we Francji, ukaże się pełny zbiór pism tego znakomitego pisarza, obejmujący 29 tomów. Nie obejmie on jednak ok. 3 tys. listów, które pisarz otrzymał z całego świata. Większość z nich znajduje się w posiadaniu jego wnuka.

Teatr

◆ Warszawski teatr „Ateneum" wystawił znakomicie sztukę Stanisława Ignacego Witkiewicza „Sonata Belzebuba czyli prawdziwe zdarzenie w Mordowarze" w reżyserii Wandy Laskowskiej. Jest to jakby rozpisany na głosy traktat o sztuce czystej formy. W rolach głównych Anna Ciepielewska i Bohdan Bear.

◆ W ZSRR przebywa kilku polskich reżyserów i scenografów, przygotowujących inscenizacje sztuk polskich. W programach „Żeglarz" Szaniawskiego, „Zemsta" Fredry, „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego i „Dwa teatry" Szaniawskiego.

◆ W połowie września wyjeżdża do Anglii Teatr-Laboratorium z Wrocławia. W Londynie pokaże on 10 razy „Księcia Niezłomnego" i „Apocalipsis cum Figuris", a następnie weźmie udział w dniach kultury polskiej w Manchesterze i Liverpoolu. W dniach weźmie też udział wrocławska „Pantomima".

Sztuka

◆ Z 7 tysięcy prac, nadesłanych na ogólnopolski konkurs plastyczny dla dzieci i młodzieży, ogłoszony w Bydgoszczy, wybrano 300 najlepszych i urządzono w tym mieście wystawę. Będzie ona później eksponowana w Warszawie i kilku innych miastach.

◆ „Nie musimy dziś jeździć do Paryża, aby zdobyć „ostrogi". Polska plastyka, zwłaszcza grafika i plakat, może równie dobrze spełniać rolę inspiratora dla plastyki światowej, jak spełniały ją kiedyś — dla rodzimej twórczości — Paryż, Wiedeń czy Monachium" — stwierdził malarz Włodzimierz Buczek, prezes Związku Polskich Artystów Plastyków.

◆ 15 września zostanie otwarta w Bukareszcie pierwsza wystawa obrazów polskich okresu Młodej Polski. Wystawione zostaną płótna Wyspiańskiego, Malczewskiego, Wojtkiewicza, Mehoffera i innych.

◆ W Szkockiej Galerii Sztuki Nowoczesnej w Edynburgu otwarto wystawę współczesnego malarstwa i grafiki polskiej, obejmującą kilkadziesiąt dzieł, m. in. T. Dominika, J. Karczewskiego i J. Narzyńskiego.

Muzyka

◆ Jak stwierdził Związek Kompozytorów Polskich w pierwszym półroczu br. na zagranicznych estradach ponad 200 razy rozbrzmiewały utwory polskich kompozytorów i to w repertuarze wybitnych zespołów i solistów. Szczególnym powodzeniem cieszą się kompozycje Krzysztofa Pendereckiego, a zwłaszcza jego „Pasja", którą prezentowano prawie 20 razy. Niemal takim samym zainteresowaniem cieszą się dzieła Grażyny Bacewicz.

◆ Czternaście koncertów w Bydgoszczy oraz dziesięć w sąsiednich miastach złożyło się na II Międzynarodowy Festiwal Muzyki Dawnej Krajów Europy Środkowej i Wschodniej, który odbył się w Bydgoszczy w dniach 4—9 września. Po festiwalu odbyło się sympozjum międzynarodowe, poświęcone polsko-włoskim kontaktom muzycznym w okresie renesansu i baroku.

◆ W ramach rewizyty wystąpił w Poznaniu czterokrotnie zespół opery z Genui, wystawiając „Ernaniego" Verdiego i „Lunatyczkę" Belliniego. Zespół stanowiło 196 osób.

◆ Polscy muzycy wezmą we wrześniu udział w kilku najgłośniejszych konkursach — w Genewie, Monachium, Tuluzie i Rio de Janeiro.

◆ Zespół Kameralistów Filharmonii Narodowej wystąpił z dwoma koncertami na międzynarodowym festiwalu w Baalbeck w Libanie. O entuzjastycznym przyjęciu przez publiczność świadczą sześciokrotne bisy oraz zaproszenie na rok przyszły. Koncertami dyrygował Karol Teutsch.

◆ W amerykańskiej miejscowości Santa Fe w stanie Nowy Meksyk odbyła się premiera opery K. Pendereckiego „Diabły z Loudun". Reżyserował Konrad Swinarski, kierownikiem muzycznym był Stanisław Skrowaczewski.

◆ Pierwszą nagrodę na konkursie pianistycznym w Sion, organizowanym od sześciu laty przez słynnego skrzypka węgierskiego Tibora Vargę, zdobył młodziutki Rumun Kiss.

Film

◆ „Niektóre z filmów o wojnie, o losach naszego narodu w owym okresie, rodziły we mnie sprzeciw i bunt. Byłem świadomy tego, że naród polski ma za sobą wiele zwycięstw, wiele czynów bohaterskich, o których trzeba mówić, które należy pokazywać nie tylko młodemu pokoleniu, ale i całemu światu... Myślę o zrealizowaniu filmu o bitwie pod Kutnem... W całej swej dotychczasowej twórczości staram się pokazać, że potrafimy nie tylko ginąć, ale także mądrze walczyć, zwyciężać i żyć dla Ojczyzny" — oświadczył w wywiadzie dla PAP reżyser Jerzy Passendorfer.

◆ Amatorskie kluby filmowe ze Szczecina i z Ueckermunde nakręcają wspólnie w Kołobrzegu film „Zaślubiny z morzem". Pokazane będą walki o to miasto w 1945 r. oraz jego odbudowa i rozbudowa.

◆ 20 filmów fabularnych i krótkometrażowych pokazano w Brazylii w dekadzie filmu polskiego.

◆ W różnych miastach Syrii, Szwecji i Turcji we wrześniu oraz w październiku odbędą się przeglądy polskich filmów fabularnych, uzupełnione najnowszymi krótkometrażówkami.

Różne

◆ W Warszawie, Tarnowskich Górach i Rybniku wystąpił — po raz pierwszy w Polsce — Zespół Pieśni, Muzyki i Tańca Iranu pod kierownictwem Najad Ahmadzadeha. Zespół istnieje 15 lat, a składa się wyłącznie z artystów opery i baletu w Teheranie oraz absolwentów szkół artystycznych.

◆ Nakładem wydawnictwa „Arkady" ukazał się wielki bardzo starannie wykonany album (100 zdjęć) „Polska" Jerzego Kostrowickiego. Zawiera także wiele podstawowych informacji.

◆ W Sali Kolumnowej Domu Związków w Moskwie odbywają się „Koncerty mistrzów sztuki". Wielkim powodzeniem cieszą się tam występy polskiej piosenkarki Niny Urbano.

◆ Angielska telewizja BBC nadała specjalny program, poświęcony najazdowi hitlerowskiemu na Polskę we wrześniu 1939 r. Audycja była hołdem dla męstwa i martyrologii narodu polskiego w czasie drugiej wojny światowej.

◆ W Sydney odbyła się wystawa sztuki i rzemiosła artystycznego, zorganizowana przez Stowarzyszenie Przyjaciół ONZ. W tzw. Dniu Polskim pokazywano szczególnie eksponaty z Polski, ponadto wyświetlono kilka polskich filmów krótkometrażowych.

◆ W jednej z gazet szwajcarskich ukazało się ogłoszenie, wymieniające wszystkich profesorów Akademii Muzycznej w Genewie. Wśród 23 profesorów jest tylko jeden mężczyzna.

Notes „Kameny"

Mieczysław Jesion

Wschód Daleki i Bliski

W CHWILI, gdy piszę te słowa, opinia publiczna całego świata żywo interesuje się wynikami spotkania premiera Kosygina z premierem Czou En-laiem. Przywódca rządu radzieckiego, wracając z pogrzebu Ho Chi Minha, zatrzymał się w Pekinie. Rozmowy chińsko-radzieckie nabierają dodatkowego znaczenia ze względu na powtarzające się starcia graniczne. Jak doniosła agencja TASS, tylko od czerwca do połowy września br. wydarzyło się aż 488 wypadków rozmyślnego naruszenia granicy ZSRR i prowokowania zbrojnych incydentów przy udziale 2,5 tys. obywateli chińskich.

W prasie światowej komentarze na temat rozmów pekińskich przyćmiły inne wydarzenia. Przedtem ukazało się wiele materiałów poświęconych osobie zmarłego przywódcy narodu wietnamskiego. Nawet wiele dzienników amerykańskich nieprzychylnie nastawionych wobec Wietnamu musiało oddać hołd pamięci Ho Chi Minha. „The New York Times" pisał np.: *Ho Chi Minh był naszym nieprzejednanym wrogiem, a przecież mógłby być przyjacielem, gdyby Ameryka zachowała wierność swym szlachetnym zasadom, które on tak podziwiał.* Dziennik stwierdził: *Jeśli Stanom Zjednoczonym zależy na dalszym postępie w kierunku pokoju, powinny udzielić wszelkiej możliwej zachęty ludziom w Hanoi, nadal skłonnym zaakceptować rozwiązanie kompromisowe, którego tak często odmawiano Ho Chi Minhowi.* Inne pisma wysuwają sugestie, że rząd amerykański powinien poczynić pewne gesty mające na celu dalszą deeskalację wojny. Takim gestem mogłoby być m. in. wycofanie z Wietnamu południowego kolejnych oddziałów wojsk USA.

Tymczasem walki w Wietnamie południowym trwają nadal i nic nie wskazuje na to, aby sytuacja w tym rejonie świata uległa poprawie.

O ile jednak w wypadku Wietnamu możemy mówić o pewnym „status quo", o tyle na Bliskim Wschodzie notuje się stały wzrost napięcia. 10 września siły zbrojne Izraela dokonały operacji wojskowej na egipskim brzegu Zatoki Sueskiej, która określana jest jako największa od wojny 1967 roku. Na pewno przesadzone są komunikaty izraelskie mówiące o dużych stratach wojsk egipskich. Niemniej sama akcja stanowi poważne zagrożenie dla sprawy pokoju. *Izrael* — pisał francuski dziennik L'Humanité" — *odpowiedział wezwaniem na rosnącą w ostatnich dniach presję w kierunku znalezienia pokojowego rozwiązania problemu. Przywódcy Izraela i USA nie zrezygnowali ze swego głównego celu: obalenia obecnego reżimu w Egipcie. Ale dziś polityka Waszyngtonu i Tel-Awiwu może doprowadzić do groźniejszego konfliktu niż w 1967 r. Pożar wojny mógłby rozszerzyć się na kontynenty.*

„L'Humanité" nie bez kozery wymieniała jednym tchem Stany Zjednoczone i Izrael. Przekazanie Izraelowi amerykańskich „Phantomów", nastąpiło akurat w momencie kolejnej agresji tego kraju w rejonie Kanału Sueskiego. Nie tylko USA popierają napastników: oto rząd brytyjski postanowił przekazać Izraelowi czołgi typu „Chieftain". W związku z tą decyzją syryjski dziennik „Al Saura" pisał: *Wiadomość ta jest potwierdzeniem antyarabskiego stanowiska Wielkiej Brytanii, która od czasów deklaracji Balfoura (...) jest potęgą kolonialną, stojącą zawsze po stronie syjonizmu i Izraela.*

Po ataku Izraela nastąpiła szybka riposta Egiptu — wielki rajd lotnictwa egipskiego na wojskowe cele izraelskie. W akcji brało udział ponad 100 myśliwców i samolotów bombowych. Agencja France Presse doniosła, że według obserwatorów kairskich akcja ta miała trzy cele: odbudowę zaufania arabskiej i egipskiej opinii publicznej, odpowiedź na chęć walki nurtującą egipskich oficerów, a zwłaszcza pilotów, oraz zatarcie efektów psychologicznych wywołanych izraelskim rajdem w Zatoce Sueskiej.

Postępowe siły arabskie mogą ostatnio zanotować sukces innego rodzaju. Reżim króla Idrisa w Libii stał się kolejną ofiarą fali wojskowych zamachów stanu. Proklamowano Libijską Republikę Arabską, została ona natychmiast uznana przez inne radykalne kraje arabskie.

Paryski „Le Monde" wskazał, że wydarzenia w Libii wykraczają poza ramy Afryki północnej i problemów świata arabskiego. *Pozycja strategiczna Libii położonej w centrum basenu śródziemnomorskiego, ogrom jej bogactw naftowych i związki łączące ją od lat z grupą państw anglo-amerykańskich czynią z libijskiego przewrotu wydarzenie międzynarodowe.*

Warto w tym miejscu przypomnieć, że baza lotnicza w Wheelus wraz ze swymi eskadrami samolotów Phantom jest największym tego rodzaju ośrodkiem Stanów Zjednoczonych w rejonie Morza Śródziemnego. *Czy rząd libijski* — zadawał pytanie i nie znajdował na nie odpowiedzi „France Soir" — *względnie umiarkowany w swym programie dotyczącym ropy, zechce postawić na porządku dnia sprawę amerykańsko-brytyjskich baz, a przede wszystkim kwestię bazy w Wheelus?"*

Najbliższe miesiące mogą obfitować w wiele interesujących wydarzeń. W tym roku nie było spokojnego lata, nie ma i spokojnej jesieni. W 30 lat po wybuchu drugiej wojny światowej sytuacja międzynarodowa daleka jest od idylli.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Państwowy Teatr Lalek „Świerszcz" rozpoczął sezon sztuką francuskiego autora J. L. Temporale „Teatrzyk Jeana". Reżyserował ją St. Słomka-Rakowski z poznańskiego „Marcinka", scenografia Elżbiety Sołtysiak, muzyka — Jerzego Miliana.

◆ We wsi Szwajcaria koło Suwałk staraniem Muzeum Okręgowego i Muzeum Ziemi Suwalskiej zorganizowano wystawę na terenie cmentarzyska jaćwieskiego z II—IV w n.e.

◆ Sokrat Janowicz, dziennikarz wychodzącej w Białymstoku białoruskiej „Niwy", opublikował zbiór opowiadań pt. „Zahony" („Zagony").

KIELCE

◆ W Muzeum Świętokrzyskim czynna jest ogólnopolska wystawa retrospektywna dzieł Józefa Szermentowskiego. Zgromadzono na niej 86 akwarel i obrazów olejnych artysty, pochodzących z zbiorów własnych muzeum, wypożyczonych z innych placówek muzealnych i od osób prywatnych. Muzeum Świętokrzyskie wydało obszerny, zawierający omówienie twórczości J. Szermentowskiego, bibliografię i wykaz prac, katalog wystawy w opracowaniu Ireny Jachimowicz. W październiku wspólnie z oddziałem Stowarzyszenia Historyków Sztuki muzeum organizuje sesję naukową, poświęconą twórczości J. Szermentowskiego, w której zapowiedzieli udział najwybitniejsi historycy sztuki z całej Polski.

LUBLIN

◆ 5 września odbyły się w Lublinie uroczystości poświęcone trzydziestej rocznicy śmierci Józefa Czechowicza. Na akademii odbytej z tej okazji, o życiu i twórczości Czechowicza mówił prezes Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Zygmunt Mikulski a Halina Czerny-Stefańska wystąpiła z recitalem szopenowskim. Na placu nazwanym imieniem Czechowicza odsłonięto pomnik poety dłuta lubelskiego rzeźbiarza Tadeusza Skwarczyńskiego.

CAF — Fot. J. Trembecki

◆ Rozstrzygnięty został konkurs literacki o Laur Czechowicza organizowany corocznie przez wydziały kultury WRN w Lublinie, Kielcach, Białymstoku i Rzeszowie, oraz Lubelski Oddział ZLP, Muzeum J. Czechowicza i Wydawnictwo Lubelskie. Na konkurs wpłynęły 94 prace — 71 w dziale poezji, 23 w dziale prozy. Pierwszych nagród nie przyznano. Drugą nagrodę w dziale poezji otrzymał Wiesław Kazanecki z Białegostoku, dwie trzecie Bolesław Garboś z Sandomierza. W dziale prozy druga nagroda przypadła Zbigniewowi Strzałkowskiemu z Lublina, a trzecia Władysławowi Piekarskiemu ze wsi Góra w powiecie białostockim.

◆ 29 i 30 września wystąpił w Lublinie teatr Royal Court z Londynu, który wylansował całą plejadę awangardowych dramaturgów angielskich, m. in. Osborne'a, Weskera, Shelagh Delaney. W wykonaniu tego znakomitego teatru zobaczymy dwie sztuki Edwarda Bonda: „Uratowani" i „Wąska droga na daleką północ".

◆ Lubelski chór „Echo" występował za granicą. Rewizytował on bułgarski chór „Rodina" z Sofii, który koncertował w Lublinie w lipcu br. W czasie swego dwutygodniowego pobytu w Bułgarii chór „Echo" dał koncerty w Sofii i większych ośrodkach przemysłowych.

RZESZÓW

◆ Zespół Teatru im. Wandy Siemiaszkowej przebywał we Lwowie. Podczas 5-dniowego pobytu dał pięć przedstawień — trzy „Jadzi wdowy" Ryszarda Ruszkowskiego i dwa „Hamleta" Szekspira. Inscenizację „Hamleta" zaprezentowano również widzom radzieckim za pośrednictwem telewizji lwowskiej.

◆ W Muzeum Okręgowym zorganizowano wystawę pn. „Opieka państwa nad twórczością ludową". Wystawa obrazuje działalność instytucji i placówek kulturalno-oświatowych w zakresie organizowania konkursów, wystaw, imprez zmierzających do wydobycia i kultywowania folkloru Rzeszowszczyzny.

◆ Zespół Pieśni i Tańca Wojewódzkiego Domu Kultury zdobył złoty medal na XII Festiwalu Folklorystycznym w Montrejeau, a Zespół „Rzeszowiacy" z Zakładowego Domu Kultury WSK w Mielcu I miejsce na I Międzynarodowym Festiwalu Zespołów Folklorystycznych „Rumunia 69".

Panorama nowej Zielonej Góry

Fot. Czesław Łuniewicz

POLSKA RZECZ NAD ODRĄ

Ryszard Rowiński

ZIELONOGÓRSKI „Zastal" — wytwórca wagonów kolejowych i ich eksporter — powiązany jest ze Śląskiem tysiącem więzi kooperacyjnych. Gorzowski „Stilon", jedyny w kraju wytwórca włókna poliamidowego, dostarcza swój produkt do setek zakładów przemysłu włókienniczego, rozrzuconych po całym kraju. Nowosolski „Dozamet" — fabryka fabryk, znany jest za granicą z produkcji znakomitych maszyn odlewniczych. W kraju posiada on znaczenie przy modernizacji odlewni, wykonuje części do silników okrętowych „Cegielskiego". W Kożuchowie robi się detale do „Fiatów" i „Syrenek".

Przykłady można mnożyć. Dowodzą one, że województwo zielonogórskie, które potęgą nie jest bo wytwarza zaledwie 2,6 proc. dochodu narodowego, więc raczej średniak, także na płaszczyźnie gospodarczej w pełni zintegrowało się z krajem. Ziemia Lubuska, choć była częścią państwa niemieckiego przez całe stulecia, nigdy w pełni z Niemcami się nie zintegrowała. Z punktu widzenia gospodarczego była regionem drugo- a nawet trzeciorzędnym; dzikie pola różnych inwestorów, rejon polowań dla rycerzy przemysłu. Różne preferencje i dotacje nie były w stanie czegokolwiek w tej mierze zmienić. Landrat z Głogowa skarżył się swoim zwierzchnikom w poufnym memoriale na tak zwany Ostflucht, co oznacza żywiołową ucieczkę elementu niemieckiego na tereny o większej dynamice gospodarczej, gdzie są większe szanse, i zajmowanie opuszczonego terenu przez Polaków. Przecież Ziemia Lubuska przed wojną dla polskiej biedoty stanowiła owe legendarne Saksy!

Niemcy rozbudowali na terenie dzisiejszego województwa zielonogórskiego cały szereg urządzeń natury militarnej: forty, przeszkody wodne, poligony i koszary. Nawet sieć znakomitych szos miała znaczenie przede wszystkim strategiczne. Ziemia Lubuska w koncepcjach niemieckich sztabowców była ważnym przyczółkiem „Drang nach Osten". Stąd uzbrojone po zęby watachy ruszały na wschód. W 1939 roku właśnie tu zrobiono słynne zdjęcie, utrwalające po wsze czasy moment łamania szlabanu granicznego. Tego pamiętnego dnia, 1 września 1939 roku, proboszcz w kościele o.o. augustianów w Zaganiu napisał w prowadzonej przez siebie kronice tylko jedno zdanie: *Finis Poloniae*. Nie przewidywał nawet, że po niewielkim czasie pomieszczenia klasztoru ojców augustianów zamienione zostaną w maleńkie, podręczne więzienie, w którym oprócz antyfaszystów niemieckich, francuskich, włoskich i belgijskich, cierpieć będzie Polak z Częstochowy, J. Pustkowski, przykuty do ściany łańcuchem za zabicie świni. Pisząc więc o gospodarczym rozwoju Ziemi Lubuskiej i jej ekonomicznej integracji z Polską, dodajemy jedynie blasku określeniu, które wyszło spod pióra zachodniego publicysty:

Polski cud nad Odrą...

Był rok 1945. Polacy szli na Zachód. Grupa dywersyjna Wojska Polskiego „Wisła" przeszkolona w używaniu materiałów wybuchowych w Lublinie, wystartowała z polowego lotniska w Białej Podlaskiej. Samolot „Li" przeleciał linię frontu. Nocą, na tle nieba, gdzieś między Lubskiem a Gubinem, otworzyły się czasze spadochronów. W trakcie lądowania jeden ze skoczków złamał nogę. Pojemnik z materiałami wybuchowymi uległ rozbiciu. Pierwszy uzbrojony oddział Wojska Polskiego znalazł się tam, gdzie wojowie Chrobrego wbijali słupy graniczne. Dopiero później, gdy „Wisła" spełniła swoje zadanie, przyszedł front i regularny żołnierz.

II Armia Wojska Polskiego, dowodzona przez gen. Karola Świerczewskiego, w rejonie miasteczka Przewóz przygotowywała się do forsowania Nysy. Kazimierz Turski z Sokołowa Podlaskiego, celowniczy działa 45 mm, otrzymał czystą bieliznę. Kazano mu się golić. W godzinę „G", o 3.45, Polacy otworzyli ogień ze wszystkich luf. Pod ochroną wału ogniowego forsowano Nysę. Już po tamtej stronie rzeki nastąpił atak na bagnety. Sierżant Kopeć, któremu Niemcy wymordowali całą rodzinę, rzucił się na betonowy bunkier zagradzający drogę. Powtórzył czyn Matrosowa. Pośmiertnie odznaczony został Krzyżem Virtuti Militari.

Żołnierze zamienili miecze na lemiesze. W okolicy Przewozu mieszka wielu z tych, co własnoręcznie odpiłowywali korony z orzełków. Dawno znosili rogatywki i mundury. Są dziś rolnikami. Zresztą w województwie zielonogórskim wiele jest wiosek, w których mieszkają dawni kombatanci. Na Ziemie Zachodnie przyjechali przytuleni do pancerzy czołgów T 34, z pepeszami w ręku. Płacili za powrót do piastowskiego gniazda krwią, za którą nie znaleziono jeszcze ceny. Kazimierz Turski, starszy oficer, w 1969 roku oprowadzał po dawnym pobojowisku nad Nysą wycieczkę. Pokazał młodzieży miejsce, z którego Świerczewski przez lornetę nożycową obserwował teren. Turski znalazł też miejsce, gdzie przed ćwierćwieczem stało jego działo. Znalazł się nawet okop. Był zarośnięty piołunem i łopianem. Po tamtej stronie rzeki, przez granicę, gdzie kończy się Polska a rozpoczyna terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej, czas zachował dawne dozory artyleryjskie. Turski powiada:

— *Nad Nysę i Odrę przyszliśmy z bronią!*

Jeszcze za horyzontem huczały działa i trwał bój, kiedy we wsi Smieszków polscy robotnicy rolni, spędzeni tu na roboty przymusowe, organizowali we wsi Gminną Radę Narodową i wybierali wójta. Mieszkańcy Dąbrówki Wielkopolskiej witali radzieckie czołgi powodzią biało-czerwonych flag, chlebem i solą. Polska powróciła po wiekach niewoli tej ziemi. Rodzimiacy z Nowego Kramska zaczęli organizować szkołę. Członkowie Bractwa Rybackiego w Podmoklach wydobyli z ukrycia skrzynię, w której przechowywali swój statut z pieczęciami kancelarii królewskiej Jana Kazimierza. Najstarsza organizacja społeczna w Polsce reaktywowała swoją działalność. Na podmoklańskiej ulicy znów można było obnosić symbol organizacji — znak ryby, i kołatką wzywać członków na zebranie. Pierwszy starosta w Międzyrzeczu pieczętował dokumenty swego urzędu stemplami z czasów... Księstwa Warszawskiego. Zaś Alf Kowalski, artysta-malarz przystąpił do gromadzenia zbiorów, z których powstać miało najpiękniejsze muzeum regionalne w Polsce, mieszczące się w zamku zbudowanym przez Kazimierza Wielkiego. Po wielu latach miało ono przynieść Alfowi Kowalskiemu nagrodę państwową i ordery. Pierwsi mieszkańcy Gorzowa Wielkopolskiego, aby doprowadzić do stabilizacji gospodarczej miasta nad Wartą, drukowali w miejscowej drukarni pieniądz lokalny. W teatrze wystawili pierwszą sztukę. Była to komedia.

Szła Polska...

Naród parł do swojej Ziemi Obiecanej. Pogorzelcy z wielkiej wojny szli lub jechali. Jedni na dachach towarowych wagonów, inni wozami ciągniętymi przez zabłedzone woły. Często pociągi przystawały. Uzupełniano brak węgla w lokomotywach drzewem ściętym w lesie. Do wyposażenia parowozów należały piły i siekiery. Dokonywała się wędrówka narodu na skalę nie znaną w nowożytnych dziejach Europy. Pierwszą oznaką ożywienia gospodarczego na wsi były bimbrownie. Mieściły się one na posterunkach milicji i w siedzibach gmin. Bimber przez pierwsze powojenne miesiące był walutą wymienną. W tamtych dniach rodziła się oryginalna legenda o polskim Far West — dzikim zachodzie, a słownik wzbogacił się o nowe, przedtem nie znane słowa — szaber i szabrownik. Dzisiejszy inżynier Zygmunt Stein, mieszkający w Gubinie, był wtedy dowódcą strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza. Jeździł konno.

nad odrze

Tylko jedna trzecia podległego mu wojska dysponowała obuwiem. Reszta chodziła bez butów. Stein przygotowując koszary do generalskiej inspekcji, otrzymał rozkaz uruchomienia zegara na dachu kasyna. Ponieważ okazało się, że z zegara pozostała tylko tarcza i wskazówki, rozkaz został wykonany w ten sposób, że funkcje zegarowych kół zębatych i przekładni spełniał żywy wojak. W Słubicach, nad samą Odrą postanowiono wtedy uczcić zwycięstwo nad faszyzmem wielką manifestacją patriotyczną na stadionie olimpijskim, połączoną z odsłonięciem odpowiedniego monumentu. Z braku innych sił wykwalifikowanych budowy pomnika podjęli się żołnierze. Nie mając większego doświadczenia, skorzystali z wiedzy wyniesionej z harcerstwa: pokruszyli odpowiednią ilość cegieł i potłukli talerze. Na odpowiednio usypanym piasku ułożyli orła. Pomnik był, dostojnik, któremu przypadł zaszczyt odsłaniania monumentu, również nie miał rutyny. Cięcie solidnego, amerykańskiego koca tępymi nożyczkami nie było rzeczą łatwą. Przy organizowaniu manifestacji największe kłopoty sprawiła orkiestra. Znaleziono tylko jednego muzyka. Potrafił grać tylko na skrzypcach i tylko „Jeszcze Polska nie zginęła". Starczyło! Gdy biedny dostojnik pocił się przy cięciu amerykańskiego koca, muzyk grał Mazurka Dąbrowskiego. Ludzie byli wzruszeni. Mieli łzy w oczach... Temu samemu Steinowi, co uruchomił zegar, byłemu dowódcy kompanii, której żołnierze zawiesili biało-czerwony sztandar na Bramie Brandenburskiej, przypadło zadanie zawiezienia do Warszawy około dwóch kilogramów złota w sztabach i monetach wydobytych zza stanika Niemki, nielegalnie przekraczającej granicę. Nie z jazdą na zderzaku wagonu i nie ze złapaniem odpowiednich połączeń miał Stein największe trudności; po prostu w Warszawie nie było osoby, która upoważniona była do przyjęcia cennego ładunku. Stein chodził po ulicach zrujnowanej Warszawy z ładunkiem złota w raportówce i szukał odpowiedniego urzędnika...

Prawdziwe elementy legendy o polskim Far West: one również wpływają na zasób doświadczeń mieszkańców Ziemi Lubuskiej, na wykształcenie zaradności, uporu i wyobraźni. Są to cechy ludzkie pomocne przy takich przedsięwzięciach, jak budowa kombinatu miedziowego lub przy poszukiwaniach złóż naftowych, czy organizacji wyższej uczelni technicznej.

Osiedlając się nad Odrą, Nysą, Obrą i Paklicą, mieszkańcy Ziemi Lubuskiej przywieźli ze sobą nie tylko pamięć o życiu, którego część przeżyli za Bugiem, na Polesiu, Wołyniu, we Lwowie, czy nad Wilią. Oni przywieźli również sprzęty — pługi, sochy, brony z drewnianymi, kruchymi zębami, przywieźli też śpiewność mowy, więź rodzinną, legendy i pieśni — świadectwa uposażenia duchowego. Etnograf, badacz tych spraw, nie dziwi się, znajdując na Nadodrzu, na Ziemi Lubuskiej, część stroju ludowego przywiezionego z kieleckiego lub lubelskiego, lub garncarza lepiącego garnki na wzór siwaków. Jest to rzecz normalna, podlegająca jego kompetencji badawczej, na równi z elementami wielkopolskiej kultury ludowej, przechowywanej przez pokolenia rodzimiaków — mieszkańców regionu Bałtmojskiego. Etnograf, dialektolog muszą się ze swoją pracą pośpieszyć. Bowiem wyroby ludowych rękodzielników, tak jak wszędzie w Polsce, wypierane są przez tysiąc i jeden tajemnowo wyrabianych drobiazgów, zaś dawne słowo o rodowodzie zagubionym w pomroce dziejów, zastępowane jest przez słowo p. Pacha i p. Tomaszewskiego z Telewizji Warszawa. Na palcach rąk można teraz policzyć muzyków grających na lubuskim koźle. Komputera trzeba, aby zliczyć grajków szarpiących struny gitar elektrycznych. Jest to zjawisko zrozumiałe, trudno bowiem jeździć w kontuszu na skuterze. Podobną ewolucję przechodzi kuchnia. Jeszcze przed dziesięcioma laty, na podstawie dań w wiejskiej kuchni, można było wydedukować, z jakich stron wywodzą się gospodarze domu. Dziś taka kuchenna socjologia do nikąd nie prowadzi, co najwyżej do redaktora jednego dania Kalkowskiego w „Przekroju", Kraków, ul. Manifestu Lipcowego...

Tak się nam wszystko pomieszało. Duchowy relikwiarz pionierów znajduje swoje schronienie na muzealnej półce. Jest przedmiotem fascynacji tabunu ludzi odzianych w filcowe kapcie, czcigodną ramotą.

W 1946 roku, obejmując wiejski dom w powiecie gorzowskim, sarmata zza Bugu krzywił się na widok zastanego pieca kaflowego. Rozbierał piec. Kafle wyrzucał na śmieci. Nasz sarmata, bawiąc się w zduna, z przyzwoitej cegły budował piec gigant, zajmujący pół izby, na którym zimą spać może cała rodzina. Potem piec gigant uległ rozbiórce. Już rzemieślnik z prawdziwego zdarzenia — zdun, jeśli kafle ocalały, na powrót stawiał urządzenie grzejnicze w poprzedniej postaci. Zaś do spania służyły tapczany ze sklepu gminnej spółdzielni. Dziś nasz były zabużański sarmata, Lubuszanin wzorowy, klnie na walnym zebraniu, wiesza psy na prezesie geesu za brak rur i żeberek, pragnie bowiem wyposażyć chałupę w centralne ogrzewanie i wodociąg, wylicza na palcach, ile jego stara traci czasu na noszenie wody z pompy. Czas ten mogłaby stara przeznaczyć na intensyfikację hodowli.

Wieś chce żyć jak miasto. Czasem jednak...

...Jest taka wieś w szprotawskim powiecie, której mieszkańcy kochają się w koniach. W epoce intensywnej mechanizacji, gdy traktor jest podstawową maszyną, zdarzają się miejscowości, gdzie konik nie stracił miejsca w sercu rolnika. Zresztą trudno przytulić się do „Ursusa" i wyszeptać mu swoje kłopoty... Więc w tej podszprotawskiej wiosce zdarza się taka noc w ciągu roku, przeważnie ciepła i księżycowa, kiedy rolnicy wyprowadzają swoje zwierzęta na błonie. Młodzi chłopcy dosiadają końskich grzbietów i na oklep, w dzikim pędzie, ścigają się ku księżycowi. Starzy rolnicy stoją z boku i kibicują swoim jeźdźcom. Mamy więc również coś w rodzaju lubuskiego Służewca. Pogłos kubańszczyzny? Echo Gruzji? Na co dzień mołojcy ujeżdżają raczej wuefemki.

Socjologowie śledzący procesy społeczne na Ziemi Lubuskiej stwierdzają coraz częściej, że integracja społeczeństwa jest rzeczą dokonaną. Powstała nowa kompozycja społeczna — fakt o doniosłym znaczeniu dla teraźniejszości i przyszłego kształtu regionu. Młode, niezmiernie dynamiczne i ambitne społeczeństwo Ziemi Lubuskiej, nowoczesne i patriotyczne pragnie wnieść swój wkład w gospodarkę i kulturę Rzeczypospolitej.

Gorzów znaczy stilon

Fot. Czesław Łuniewicz

Kamena str. 3

AMBASADA POLSKOŚCI

Krzysztof Kościesza

CZAS tworzy mity. Czas łagodzi kanty. Każe pamiętać o jednych, zapomnieć o innych. Dziś już trudno dociec, skąd wywodzi się nazwa wsi. Popularna legenda głosi, że od imienia Mieszkowej żony Dąbrówki, która miała tędy przejeżdżać. Inni wywodzą ją od rozciągających się tu pono lasów dębowych. Znacznie bliższa historia też tworzy mity dwuznaczne. Politzmeister Hoffman z „Wesela dąbrowskiego" jest postacią komiczną, raczej śmieszną niż groźną. Jej pierwowzór był autorem raportów przesyłanych komisarzowi niemieckiej policji Hagemanowi. Być może Hoffman nie był orłem w swoim fachu, może mógłby zdziałać więcej, faktem jest, że raporty wysyłał, faktem jest, że tworzyły one materiał obciążający przyszłych więźniów obozów koncentracyjnych III Rzeszy...

Historia nie była dla tej ziemi łaskawa. Po roku 1919 Dąbrówka znalazła się po niemieckiej stronie. W roku 1920 mieszkańcy wsi interweniowali w komisji alianckiej, wysyłali petycje, delegacje. Bezskutecznie. Dąbrówka pozostała w granicach Niemiec. Linia graniczna przebiegała w odległości 3 kilometrów od wsi. Polska była stąd widoczna. Była jednak niedostępna.

Ludzie, którzy nie skorzystali z prawa opcji, pozostali tu. Tworzyli wysepkę w morzu niemczyzny. Polską enklawę. Byli w Niemczech ale byli równocześnie u siebie.

Izba pamiątek regionalnych w Dąbrówce gromadzi dokumenty tamtych lat. Dokumenty historii, ale także dokumenty rodzinne. W Dąbrówce są bowiem swoiste dynastie. Budychowie. Paweł Budych II, uczestnik Powstania Wielkopolskiego, to on przedarł się za kordon do komisji alianckiej licząc, że uda się nakłonić ją do przyznania Dąbrówki Polsce, jego syn Tomasz w 1939 roku otrzymał kartę powołania, miał iść do Wehrmachtu, przedarł się za granicę, w Zbąszyniu poprosił o przyjęcie do Wojska Polskiego. Jan Budych IV, prezes oddziału Związku Polaków w Niemczech, skończył w obozie. W obozie zginął także Stanisław Kędziora, ten sam, który w 1939 roku razem z Tomaszem Budychem przedzierał się przez granicę, by zamiast wehrmachtowskiego przywdziać mundur polski. W izbie pamiątek jest jego ostatni przedśmiertny list.

Historia jest tu jednocześnie tradycją rodzinną. Liczne towarzystwa, zespoły artystyczne. Polska szkoła. Polskie kółko rolnicze. Polski Bank Ludowy. Ta część historii Dąbrówki jest dokładnie, drobiazgowo opisana. Dwie książki o Dąbrówce napisał Wiktor Lemiesz, liczne artykuły, wspomnienia, przyczynki drukowane były w Roczniku Lubuskim, „Nadodrzu". Jest to historia walki o przetrwanie. Udział w Powstaniu Wielkopolskim, walka o polską szkołę. Walka o język. Ale także walka o utrzymanie się na powierzchni. Walka o ziemię. Ten kto ją utracił, nie znalazł pracy w pobliżu, musiał jechać w głąb Rzeszy. Gdy rozparcelowano majątek, sprowadzono do wsi niemieckich osadników, nadano im piękne gospodarstwa, wybudowano domy. *Powstał* — pisze w swoich wspomnieniach nauczycielka polskiej szkoły w Dąbrówce, Wanda Chełkowska — *niemiecki „Siedlung". Otoczono Dąbrówkę kordonem niemczyzny. Jednak nie zdołano zgnieść samej „ambasady polskości".* Mieszkało tu 93 proc. Polaków. Ich biografie są podobne.

Fot. Czesław Łaniewicz

Łużczanka w stroju ludowym

Andrzej Mania. Jako siedemnastoletni chłopiec zostaje członkiem Związku Polaków, należy też do Towarzystwa Młodzieży, Towarzystwa Robotników, Towarzystwa Śpiewaczego. Działa w radzie szkolnej. W 1934 roku zostaje pozbawiony pracy. Początkowo zezwala się mu na pracę u niemieckich właścicieli gospodarstw. Potem zabrania się i tego. W 1939 roku zostaje wywieziony do Sachsenhausen. Wraca stamtąd w 1945. Zostaje sołtysem, potem pracuje w PK ZSL, jest przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej. Potem przewodniczącym PGRN.

Podobnie inni. Wysiedlani w głąb Niemiec, aresztowani po wybuchu wojny. Konfiskowano im mienie, więziono. Przetrwali.

„Żadna z polskich wiosek — pisze Wanda Chełkowska — nie była tak silna i zwarta. (...) Młodzież łączyła się z sobą, żeniono się w wiosce, aby się nie germanizować. Tu powstała jedna z pierwszych polskich szkół na terenie Niemiec. Mieściła się w trzech wynajętych izbach. Potem Bank Ludowy zakupił ziemię pod budowę budynku szkolnego, zbierano pieniądze, gospodarze dali drzewo z własnych lasów. Ale pozwolenia na budowę nie dostali. Za to potem aktywniejsi dostali się do obozów koncentracyjnych.

Nie wszyscy wrócili tu w 1945 roku. Schwytani zostali Tomasz Budych i Stanisław Kędziora, którzy w 1939 roku uciekali do polskiego wojska. Jan Budych IV od września 1939 do marca 1945 był w Sachsenhausen, potem został wywieziony do Bergen-Belsen, gdzie zaginął po nim wszelki ślad.

W 1945 roku w Dąbrówce osiedliły się 23 rodziny chłopskie. Tu zakończyła się ich wędrówka. Z obozów wracali dąbrowszczanie. Wójtem został Ludwik Kasprzak, pierwszy sekretarz dąbrowieckiego oddziału Związku Polaków w Niemczech. W szkole, gdzie już 12 marca 1945 roku uczy się 160 dzieci, pracuje Wanda Chełkowska, wróciła z obozu w Ravensbrück...

Życiorysy nowego pokolenia są już odmienne. Oto Izydor Budych syn Pawła III, bratanek Jana III. Urodził się w 1937 roku. W 1957 ojciec przekazał mu swoje 24-hektarowe gospodarstwo. Jest prezesem GK ZSL, członkiem ZG ZMW, członkiem Prezydium WRN, WZKR. Zaocznie skończył WSR. Inżynier na gospodarce. Zainwestował w nią ponad ćwierć miliona. Gospodarstwo nasienniczo-ogrodnicze. Nowego typu. Oparte na usługach kółka rolniczego. Kilkanaście tysięcy rocznie płaci do kółkowej kasy.

Izydor Budych jest jedynym we wsi inżynierem — gospodarzem. Ale nie jedynym dobrym rolnikiem.

W ostatnim ćwierćwieczu dąbrowieccy rolnicy wybudowali prawie 400 nowych budynków mieszkalnych, 30 stodół, 60 budynków inwentarskich. Zapłacili za to 16 milionów. Jak na wieś liczącą 1400 mieszkańców nie jest to mało. Majątek międzykółkowej bazy maszynowej przekroczył 3,5 miliona zł. Wybudowano tu 30 silosów na kiszonki z ziemniaków, 80 na kiszonki z zielonki. Czterech rolników współpracuje z gorzowskim oddziałem IUNG.

Przytaczam te liczby. Wskazują one nie tylko na ogrom przemian. Wskazują także to, że dawna biedna wieś na kresach Reichu przeistoczyła się w bogatą, przypominającą raczej małe miasteczko, wieś nowoczesną. Elektryczne oświetlenie ulic. Sklepy, wybudowany w czynie społecznym wodociąg, rozpoczęte układanie chodnika. Prawda, wielu mieszkańców, zwłaszcza młodszych, pracuje poza rolnictwem. W pobliskich zakładach przemysłowych. Ale każde gospodarstwo ma następców. Ziemia tu niezbyt urodzajna, raczej licha. A zboża zbiera się przeciętnie ok. 23 kwintali z hektara. Ale równocześnie — przeciętne zużycie nawozów wynosi 115 kilogramów czystego składnika NPK na hektar. Opłaca się inwestować. Opłaca się myśleć po gospodarsku.

Zamożność wsi jest łatwo dostrzegalna. 15 samochodów osobowych, setki motocykli, lodówki, pralki, telewizory. To jedna strona przemian. Równocześnie należy pamiętać i o tym, że około 20 mieszkańców wsi ukończyło studia wyższe, 80 szkoły średnie, że prawie wszyscy nowi absolwenci dąbrowieckiej szkoły podejmują dalszą naukę.

Porównania są wymowne. Trzy izby w prywatnych domach i nowa piękna szkoła. Występy w prywatnych domach i dom kultury w pałacyku von Britzkego, tego samego, który w 1920 roku zadziałał na rzecz przyłączenia Dąbrówki do Niemiec. Wieś położona w najbardziej zacofanym rejonie Niemiec, sławnym z tego, że postępowało tu wyludnienie, że mieszkańcy masowo przenosili się do rejonów bogatszych, lepiej zagospodarowanych, jest w tej chwili zamożną, nowoczesną wsią.

Ciągłość tradycji. Wprawdzie stroje ludowe przechowywane są starannie w skrzyniach, wydobywane tylko na większe uroczystości, ale dziś jeszcze trafiają się w Dąbrówce wesela z tradycyjnymi przyśpiewkami. Dąbrowieckie czepce, „kopki", zrobiły zresztą karierę, trafiły aż do „Mazowsza". Zespół Pieśni i Tańca obchodził niedawno 45-lecie. Żelaznym punktem programu jest „Dąbrowieckie wesele" z tradycyjnymi tańcami, pieśniami, przyśpiewkami. Do tańca przygrywa kapela, w której skład wchodzi także, „kozioł". Instrument dla tego regionu typowy.

Cytowana tu już Wanda Chełkowska tak kończy swoje wspomnienia: *Wychowuję już dzieci tych pokoleń, które uczyłam przed wojną, jako młoda, ambitna, ofiarna, rozmiłowana w swoim zawodzie nauczycielka. Chociaż zmęczona przeżyciami, troskami i pracą, Chełkowska pracuje z takim samym zamiłowaniem, jak kiedyś młodziutka Pałuszakówna, później Niemcowa.*

Gospodarzem wsi jest Andrzej Mania, sekretarzem Prezydium GRN również rodowita dąbrowszczanka, wywieziona w czasie wojny w głąb Niemiec — Weronika Jędrzejczak. Jest coś typowego, w tym, że ci, którzy kiedyś należeli do najniższej, prześladowanej kategorii mieszkańców, dziś są gospodarzami wsi. Gospodarzami dobrymi. Jest także charakterystyczne to, że w oficjalnym piśmie mieszkańcy wsi domagają się wycofania z urzędowego języka przymiotnika „poniemiecki", oni nie objęli poniemieckiej własności, po prostu wrócili na swoje.

To, co zdarzyło się we wsi między latami 1919 a 1945 należy do historii. Trzeba przyznać, że historia oddała sprawiedliwość ludziom tamtych lat. Tamte lata były czasem walki o przetrwanie. Lekcja gospodarności odbywała się w warunkach najtrudniejszych. Potem zaraz po wojnie, też nie było łatwo. Zanim skutecznie zaczęły działać komisje weryfikacyjne, zanim zatarły się różnice, rdzenni mieszkańcy tych ziem wystawieni byli niejednokrotnie na przykre przejścia.

„Minęły wieki, a myśmy ostali", tak mogliby powiedzieć o sobie nie tylko mieszkańcy Dąbrówki, także Podmokli, Babimostu, Kramska. W roku 1947 w woj. zielonogórskim mieszkało 8 000 autochtonów. Przetrwały tradycje kulturalne, sportowe, tradycje społecznego działania. Przetrwały tradycje rodzinne, które są tu także cząstką tradycji narodowych.

W tym nowym układzie jest miejsce na izbę pamiątek regionalnych, gdzie z pietyzmem gromadzi się pożółkłe dokumenty, pamiątki, jest jednak także miejsce na kółko rolnicze dysponujące nowoczesnym sprzętem. Pamięć o historii i troska o dzień jutrzejszy.

W 1938 roku na Kongresie Polaków w Berlinie mieszkańcy Dąbrówki wraz z innymi delegatami śpiewali pieśń napisaną przez Edmunda Osmańczyka:

I nie ustaniem w walce
Siłę słuszności mamy
I mocą tej słuszności
Wytrwamy i wygramy.

Wytrwali i — wygrali.

Samotnie we Włoszech (II) ZE WSPOMNIEŃ

Zobacz Neapol i... żyj!

Kazimierz Andrzej Jaworski

CZTERY dni w Rzymie to bardzo mało. To zaledwie tyle, ile potrzeba na rozsmakowanie się w tym najciekawszym z miast, po to tylko, aby je opuścić. A w Rzymie można siedzieć miesiącami.

Co mnie uderzyło od razu nazajutrz po przyjeździe, to kontrasty: połączenie współczesnej europejskiej stolicy z umarłym Rzymem antycznym, ze wspaniałością renesansu. Nieśmiertelne w swym pięknie ruiny, zachwycające świątynie kłócą się z brzydotą sąsiadujących z nimi nowoczesnych pałaców, z szablonem kamienic.

Dopiero trzeba się zaszyć w labirynty Palatynu lub zawieruszyć wśród zwalisk Forum Romanum, aby zapomnieć o pociągach i kinie, telefonie i radiu, Mussolinim i faszyzmie. Forum Romanum i Palatyn były pierwszym celem moich wędrówek po Rzymie. W rozpalone lipcowe przedpołudnie w skwarze czterdziestostopniowym przemierzałem rozkopane uliczki. Turystów było jeszcze mało. Uchyliwszy się nie bez trudności od usług cicerone, błądziłem samotnie wśród reliktów świątyń i pałaców. W powietrzu unosił się zapach nie znanych kwiatów i ziół zarastających ruiny. Od czasu do czasu spłoszona jaszczurka przemykała przez drogę. Cisza prawie niezmącona, przerywana tylko dalekim gwarem miasta. Oko pieszczącym spojrzeniem głaszcze okaleczone kolumny świątyń Saturna, Kastora i Polluksa i imponujące łuki triumfalne Tytusa, Septymiusza Sewera i Konstantyna. Ma się tu poglądową lekcję stylów, przeważają kolumny korynckie z kapitelem przechodzącym w kwiaty i liście.

Wśród ruin Palatynu reminiscencje z „Quo vadis". W ogrodzie przechadza się cień Nerona, artysty, który dla napisania wiersza potrafił Romę spalić.

Pierwszy dzień pobytu w Rzymie — Forum Romanum i Palatyn, a później Colosseum, Kapitol i Forum Cesarskie, muzeum kapitolińskie, a w nim tysiące antycznych zabytków z Venus na czele to było złożenie hołdu wielkiej starożytności. Mnóstwo rzeczy, o których się czytało, o których miało się mgliste pojęcie, przybierało kształty namacalne, aby przemówić harmonijnym pięknem silniej niż wszelkie książki.

Następny dzień poświęciłem Rzymowi chrześcijańskiemu. Ogrom bazyliki św. Piotra, tego kościoła, „co jest olbrzymem", jak się wyraził Słowacki, przygniótł mnie całkowicie. Tu, gdzie niegdyś rozciągały się ogrody Nerona, jako widomy znak triumfu miłości nad okrucieństwem, stoi najpotężniejsza świątynia. Prowadzi do niej olbrzymi owalny plac otoczony w lewym i prawym półkolu dwiema odnogami kolosalnej kolumnady, składającej się z czterech rzędów kolumn doryckich i ozdobionej u góry półtora setką figur świętych. A wnętrze bazyliki?

Nie sposób wyliczać cudów, które tu na każdym kroku oszałamiają turystę — tych wspaniałych ołtarzy, imponujących grobowców, obrazów, będących dziełem największych artystów. Wspomnę tu tylko o pewnej rzeźbie, która mnie specjalnie urzekła swym pięknem i prawdą wyrazu. To Pietà Michała Anioła z jakżeż ludzkim obliczem Matki bolejącej nad zwłokami Syna.

Zwiedzając bazylikę nie omieszkałem wznieść się windą na obszerną płaszczyznę wyglądającą jak duży plac, a będącą dachem świątyni. Tu mogłem z bliska obejrzeć potężną kopułę środkową i dwie mniejsze — boczne. Z niesmakiem zauważyłem sklepik, w którym sprzedawano różne dewocjonalia. Po krętych schodach wszedłem jeszcze na galeryjkę okalającą wieżyczkę na kopule. Rozciągnął się przede mną niezrównany widok na cały Rzym opasany siną wstęgą Tybru. Za wzgórzami rzymskimi smutna równina Kampanii, od zachodu na horyzoncie ledwo widoczne błękitniejące morze. Wzrok gubi się w chaosie wież, kopuł, kościołów, krzyżów błyszczących w słońcu. Widok o wiele rozleglejszy od tego, który widziałem ze szczytu Kampanili weneckiej. Ale za to stamtąd dojrzałem w odległej dali niewyraźne zarysy Alp.

A potem Watykan. Ciągnące się w nieskończoność sale, zawierające wszystko, co najpiękniejszego mógł stworzyć geniusz artysty. Błąkałem się trzy godziny po tych pokojach kapiących od złota i mozaik, wśród cudownych płócien wielkich mistrzów, wśród nieskazitelnych posągów starożytności. W jednej z sal czekała mnie niespodzianka: oto całą główną ścianę zajmuje obraz Matejki — Sobieski pod Wiedniem.

Trudno nie wspomnieć o Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie za przykładem innych turystów rozciągnąłem się jak długi na ławie z oczyma utkwionymi w sklepieniu z malowidłami Michała Anioła. Nie wiem czemu, ale Sąd Ostateczny tego mistrza na ścianie przy ołtarzu wydał mi się blady i nie wywarł tego silnego wrażenia, jakiego oczekiwałem od powszechnie uznanego arcydzieła. Może dlatego, że mam krótki wzrok, a tłum turystów nie dopuścił mnie bliżej sczerniałego od kadzideł fresku, a może i dlatego, że zwiedzałem kaplicę na końcu otępiony już parogodzinną włóczęgą. A wrażliwość estetyczna słabnie bardzo łatwo: po uważnym obejrzeniu kilku sal nie reaguje się już tak silnie na piękno dalszych arcydzieł, a później ulega się już prawie że zobojętnieniu. Tylko pierwsze wrażenia, jakie się odbiera w czasie zwiedzania muzeum, są żywe i silne, później znużony człowiek konstatuje, że mu „już wszystko jedno" i raczej z obowiązku ogląda eksponaty.

Zatęskniłem więc za morzem, za orzeźwiającą kąpielą. Toteż postanowiłem zwiedzić starożytny port rzymski Ostię i zawrzeć bliższą znajomość z Morzem Tyrreńskim. Kolejka elektryczna po trzech kwadransach wysadziła mnie na małej stacyjce. I za chwilę już dobroczynne fale wilżyły mi ciało spieczone od lipcowych upałów.

Dziwne myśli osaczyły mię na widok ciemnobłękitnego obszaru wód. Oto zanurzam się w klasycznym Morzu Śródziemnym, na które patrzył niegdyś Homer przed swym kalectwem. Po tej niezmierzonej przestrzeni oblewającej trzy części świata ślizgał się niegdyś okręt Odysa stęsknionego za ojczystą Itaką. A do tego portu zawijała nieraz zwycięska flota rzymska. Tak było ongiś. Ale rzeczywistość w różnokolorowych trykotach pluszcząca się w morzu zbyt głośno manifestowała swą obecność. Zresztą rzeczywistość ta skądinąd była bardzo pociągająca. Zwłaszcza jedno młodziutkie czarnowłose dziewczę, które — niestety pod opieką korpulentnej mamy i statecznego papy — śmiało się radośnie rozbryzgując dookoła wodę. Z tym papą nawet, huśtając się na sznurze przywiązanym do wbitych w dno morskie bali, rozmawiałem swoją wykwintną włoszczyzną na temat rozkoszy kąpieli. Skarżył się, że ta eskapada z Rzymu do Ostii wraz z wejściem na plażę kosztuje go przeszło pięćdziesiąt lirów.

Po tym intermezzo w Ostii dwa dni jeszcze spędziłem w Rzymie. Zeszły mi one na zwiedzaniu Term Karakalli, u stóp których rozkosznie się zdrzemnąłem w piekielnym żarze, aż zbudził mnie jakiś Włoch ostrzegając przed słońcem, bazyliki św. Pawła, kościoła i katakumb św. Sebastiana i prześlicznego ogrodu Borghese na wzgórzu Pincio, niedaleko którego mieszkałem.

Grób Cecylii Matelli, starożytna Via Appia, kapliczka Quo Vadis Domine — to impulsy do nowych wrażeń i reminiscencji literackich.

Ale poza tym Rzymem wczorajszym i przedwczorajszym — jest inny Rzym — dzisiejszy. To rozjarzone od elektryczności wieczorem ulice, to korowody aut i powozów toczących się wzdłuż Corso Umberto, ryk klaksonów, tłumy księży, zakonników i świeckich pielgrzymów, przybyłych tu liczniej niż zazwyczaj z powodu Anno Santo i pochody partyjne. Miałem sposobność obserwować kiedyś taką defiladę faszystowską, bo obchodzono właśnie rocznicę śmierci króla Humberta. Tak zwana milicja narodowa w czarnych koszulach i fezach z fontaziem maszerowała jak wojsko śpiewając jakąś brawurową piosenkę. Nie mogłem bez wewnętrznego sprzeciwu i oburzenia patrzeć na tych ludzi. Zdawało mi się, że na czerni tych koszul widzę plamy krwi ich nieszczęśliwej ofiary — męczennika Matteotiego.

Po czterodniowym pobycie w Rzymie przeszedłem do ostatniego etapu mojej podróży.

Vedi Napoli e poi mori — powiada oklepane przysłowie i jak wiele utartych powiedzeń nie ma racji. Bo Mori — majuskuła M — to nazwa malowniczej miejscowości w pobliżu Neapolu, którą należy po tym mieście zobaczyć, a nie jak tego chcą emfatyczni interpre-

→

Próg nowego 25-lecia w szkolnictwie

Wywiad z Kuratorem Okręgu Szkolnego Lubelskiego, Tadeuszem Kąckim

Prasa codzienna donosiła o wielu mniej lub więcej doraźnych kwestiach związanych z organizacją nowego roku szkolnego na Lubelszczyźnie. Poza tą, konieczną, oczywiście, informacją warto zaznajomić czytelników z problematyką ogólniejszą, przed jaką stanęło szkolnictwo, nie tylko Lubelszczyzny zresztą, choć charakter naszego regionu narzuca tu własne specyfikacje. O tych sprawach przedstawiciel redakcji „Kameny" rozmawiał z Kuratorem Tadeuszem Kąckim.

— Panie Kuratorze, w procesie nauczania i wychowania sprawą zasadniczą jest odpowiednio wykwalifikowana kadra nauczycielska. Wiadomo, że nauczyciele uzupełniają zaocznie wykształcenie wyższe, a także kwalifikacje dydaktyczne. Ale byłoby też interesujące dowiedzieć się, jak wygląda kwestia przyswajania przez nich, szybko dziś narastających, aktualnych zdobyczy wiedzy i kultury, których uwzględnienie przez szkołę wydaje się konieczne? Czy istnieje np. możliwość egzekwowania od historyka znajomości aktualnych marksistowskich interpretacji historii najnowszej, a od polonisty lektur współczesnej literatury i wiedzy z zakresu nowych metod badania utworu?

— Zgodnie z zarządzeniem Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, od 1 września br. jest przeprowadzana perspektywiczna akcja tzw. renowacji wiedzy fachowej wśród nauczycieli wszystkich typów szkół i wszystkich przedmiotów. Nie idzie tu tylko o samokształcenie w obrębie rad pedagogicznych czy zespołów samokształceniowych działających na gruncie komisji przedmiotowych i komisji opiekunów klas, idzie również, a może nawet przede wszystkim, o obowiązkowe kursy śródroczne i wakacyjne, a także o kurso-praktyki w przedsiębiorstwach dla nauczycieli przedmiotów zawodowych. W Lublinie powstaje dobrze wyposażony, wzorcowy ośrodek doskonalenia kadr nauczycielskich, który swoim zasięgiem obejmie całe województwo. W zajęciach tego ośrodka wezmą udział pracownicy naukowi uczelni lubelskich, którzy poprowadzą wymienione kursy. Do 1975 roku 75% nauczycieli ma przejść takie przeszkolenia.

— Wiele się u nas mówi o tzw. stosunkach międzyludzkich w zakładach produkcyjnych, gdzie niewłaściwa sytuacja w tym zakresie może znacznie zakłócić procesy wytwórcze. Lecz — wedle prof. Kotarbińskiego — zawód nauczyciela również należy traktować jako produkcyjny, i to w najszlachetniejszym sensie — produkcji człowieka. Dziwi zatem fakt, że jakoś o stosunkach międzyludzkich w gronach szkolnych wiemy właściwie niewiele, a przecież najmniejsze nieprawidłości mogą tutaj wywołać poważne zakłócenia procesu nauczania i wychowania.

— Zasadniczo sytuacja w tym względzie nie stanowi dla nas problemu, bo nie mają tu miejsca jakieś poważniejsze czy bardziej trwałe kontrowersje. Istniejące sporadycznie konflikty dotyczą głównie młodej kadry nauczycielskiej, zawodowo jeszcze „niedotartej" i nie posiadającej często wystarczających kwalifikacji dydaktycznych. Tymi ludźmi mają obowiązek opiekować się kierownictwa i dyrekcje szkół oraz starsi koledzy-nauczyciele. Dobrą kontrolą są tu także lekcje koleżeńskie. Na te tematy odbyliśmy w Kuratorium szereg konferencji roboczych z inspektorami, podinspektorami i dyrektorami szkół. Staramy się, aby wszelkie sprzeczności były rozwiązywane na miejscu w szkołach i przy pomocy miejscowych czynników: podstawowej organizacji partyjnej, ogniska nauczycielskiego, dyrekcji szkoły. Dopiero w jaskrawych i wyjątkowo trudnych przypadkach interweniują władze Kuratorium. Ale taka konieczność zdarza się rzadko. Możliwość uzyskania przez każdego nauczyciela przeciętnie pięciu godzin dodatkowych usuwa potencjalne źródło ewentualnych konfliktów.

— Obok kwestii tak czy inaczej osobowych interesująca wydaje się również sprawa statusu i roli poszczególnych typów szkół. Rzecz, oczywiście, w perspektywie przyszłościowej. Czy np. forma kształcenia na poziomie średnim, jaką są licea ogólnokształcące, nie przeżywa obecnie kryzysu? Przynajmniej w recepcji społecznej? Istnieje ponoć w naszym województwie kilka liceów ogólnokształcących, w których nie zdołano zebrać kompletu uczniów w klasach I.

— Problem nie jest prosty. Nie polega on jednak na przeżywaniu się liceum ogólnokształcącego i perspektywicznej konieczności likwidacji tego typu szkół, które są przecież i będą zasadniczym źródłem kandydatów na studia (ok. 50 proc. studentów to licealiści). Rzecz w czym innym. W tym mianowicie, by systematycznie oraz intensywnie podnosić poziom istniejących liceów ogólnokształcących, a także nie rozbudowywać ponad miarę sieci tych placówek, która jest na Lubelszczyźnie wystarczająca. Dla podniesienia poziomu — myśli się m. in. o polepszeniu bazy materialnej liceów, nadaniu im większej samodzielności przez wyodrębnienie ich ze szkół łączonych: podstawowych razem ze średnimi. Uwzględniając potrzeby naszego terenu, jego przekrój socjologiczny, stan gospodarki, perspektywy rozwojowe, zamierzamy kilka liceów przekształcić w szkoły zawodowe, chcąc uniknąć w ten sposób niedoborów w klasach I liceów; skoro konkretna sytuacja społeczna tego wymaga, trzeba się decydować na takie posunięcia. Ale to wypadki raczej sporadyczne. Stwarzamy też możliwość przejścia uczniów z liceum do technikum (cztery klasy licealne na Lubelszczyźnie już przeszły taką metamorfozę). Wszystko to

z myślą o uczniach, którzy albo nie zamierzają studiować, a chcą zdobyć wstępne kwalifikacje zawodowe, albo na studia się nie dostaną. Z tych samych zapewne przesłanek wyszedł projekt Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, dotyczący przysposobienia zawodowego w liceum ogólnokształcącym. Ponieważ w tym roku szkolnym licea, jak wiadomo, nie wypuszczą maturzystów, więc będzie nieco więcej czasu na to, by zespoły nauczycielskie i dyrekcje poszczególnych placówek zastanowiły się nad potrzebą i możliwością zajęć fakultatywnych w ich szkołach, gdzie zajęcia te, mające na celu uzyskanie przez uczniów wstępnych kwalifikacji zawodowych, obejmą głównie klasy maturalne i przyczynią się do poważnego skrócenia okresu adaptacji zawodowej przyszłych młodych pracowników. Jak zatem widać — sprawa będzie organizowana na zasadach elastycznych, z jednej bowiem strony nastąpi podniesienie poziomu liceów, a więc i kandydatów na studia, z drugiej zaś — ułatwi się start zawodowy tym licealistom, którzy z rozmaitych względów nie będą mogli uczyć się na studiach stacjonarnych.

— W kontekście omówionych wyżej spraw widać, że szczególne znaczenie przywiązuje się zapewne do problematyki szkolnictwa zawodowego?

— Istotnie, aczkolwiek jest to w ogóle ważny i częściowo przynajmniej odrębny problem. Najważniejszym zadaniem przyszłościowym jest dostosowanie sieci i charakteru szkolnictwa zawodowego do potrzeb rozwijającej się gospodarki terenu (przemysłu, handlu, usług). Tu najbardziej chyba potrzebne jest myślenie perspektywiczne oraz korelacja planów gospodarczych z planami rozwoju szkolnictwa zawodowego, korelacja zamierzonych inwestycji szkolnych z wchodzącymi do realizacji inwestycjami przemysłowymi. Najogólniej rzecz biorąc, Lubelszczyzna potrzebuje więcej robotników wykwalifikowanych niż techników (w Katowickiem np. jest odwrotnie, ale województwo to posiada inną strukturę gospodarczą niż nasze). Musimy zatem rozwijać przede wszystkim sieć zasadniczych szkół zawodowych, umacniać istniejące a potrzebne placówki w tym zakresie, i to z myślą o istniejących, powstających bądź planowanych zakładach naszej gospodarki. Tak istotnie się dzieje. W Białej Podlaskiej są budowane Zakłady Przemysłu Wełnianego i tam też utworzono w niektórych zasadniczych szkołach zawodowych odpowiednie — nowe — klasy specjalistyczne. Z myślą o potrzebach i na wniosek Wojewódzkiego Zarządu Dróg Publicznych otworzyliśmy z dniem 1 IX 1969 r. ZSZ nr 8 w Lublinie ze specjalizacjami: asfalciarz i monter nawierzchni drogowych. To tylko przykłady, oczywiście. Słowem, dążymy do koniecznej zmiany proporcji ilościowej między absolwentami ze średnim wykształceniem zawodowym a absolwentami z wykształceniem zasadniczym na korzyść tych ostatnich (np. w tym roku szkolnym nie przyjmowano kandydatów do Technikum Energetycznego w Lublinie, tylko do szkoły zasadniczej o analogicznym kierunku). Takiego typu postępowanie dyktują nam realne potrzeby terenu. Wszystko to nie oznacza, iż mamy zamiar w jakikolwiek sposób „krzywdzić" technika zawodowe. Wręcz odwrotnie — gdy istnieje konieczność, otwieramy nowe szkoły tego typu (np. Technikum Mechaniczne w Hrubieszowie ze specjalnością: maszyny i urządzenia rolnicze, bardzo użyteczna szkoła w tym rolniczym powiecie). Ale główny kierunek naszych poczynań pozostaje taki, jak wspomniałem — przygotowywać kadry robotników wykwalifikowanych. Istnieje ponadto wstępna koncepcja naszego Ministerstwa, by rekrutację do zasadniczych szkół zawodowych przeprowadzać także od 1 stycznia każdego roku, w związku z czym będzie można wypuszczać absolwentów tych szkół dwa razy do roku, jeśli projekt ten przejdzie. W myśl wskazań V Zjazdu PZPR — do 1975 r. 90 proc. uczącej się młodzieży ma osiągać wykształcenie ponadpodstawowe. Sprawy, o których mówiliśmy, wychodzą naprzeciw tym wskazaniom, opierając się zarazem o prawidłowe rozpoznanie potrzeb regionu. W ogóle zaś wiele kwestii tu poruszanych wiąże się z tendencją do — by tak rzec — uzawodowienia i dalszego urealnienia naszego szkolnictwa, a równocześnie zapewnienia szkołom kolejnych wyższych szczebli najbardziej wartościowych kandydatów.

— Jaka przed pismem społeczno-kulturalnym stoi szansa uczestniczenia we wszystkich tych procesach?

— Muszę wyrazić satysfakcję, że właśnie „Kamena" coraz częściej zajmuje się kwestiami szkolnictwa czy w ogóle młodzieży. To nam w pewien sposób ułatwia informację społeczną o zagadnieniach, które nas bezpośrednio interesują, a czasem nawet może mieć znaczenie inspirujące. Trzeba sobie życzyć, by nasza współpraca rozwijała się nadal, może wówczas pismo zyska trwałego i szerszego odbiorcę wśród rzeszy nauczycieli Lubelszczyzny. Wiadomo zaś, iż nie zawsze i nie wszędzie jest z tym najlepiej. Ze swej strony będziemy czynić wysiłki, aby to pozyskanie czytelnika-nauczyciela doszło do skutku.

Wywiad przeprowadził
Maciej Podgórski

---

tatorzy — umrzeć. Ale gdyby się nawet zgodzić na przyjętą wersję, to należy stanowczo zaprotestować. Zobacz Neapol i potem umrzyj? Przeciwnie: żyj! Śmiej się do błękitnego morza, do sinych gór na horyzoncie, do złotej pomarańczy słońca zawieszonej na granatowym pułapie nieba, do czarnych powłóczystych spojrzeń smagłych neapolitanek. Chłoń dźwięki melodyjnych canzon śpiewanych we dnie i w noce przy akompaniamencie gitar i mandolin. Ucz się słonecznego optymizmu od roześmianej neapolitańskiej zatoki i patrz na świat nie przez ciemne ochronne okulary niemieckich i angielskich turystów, lecz przez różowe szkła radości.

Parowiec „Fouine" przeładowany różnojęzycznymi pasażerami z wolna pruje fale dążąc na Capri. Śmiech i wesele rozbrzmiewają wszędzie, bo jakżeż tu się nie radować, kiedy morze takie błękitne, a dźwięki tercetu (skrzypce, mandolina i gitara) grającego nie tylko ludowe melodie neapolitańskie, ale nawet „Titinę" podchwytuje włoska część turystów. Lecz powoli obraz się zmienia. Statek zaczyna się coraz bardziej kołysać i twarze przed chwilą radosne bledną, rozmowy się urywają, śmiech milknie. Wiele osób schodzi pod pokład, gdzie huśtanie jest mniej dotkliwe. Panie ze zbolałym wyrazem twarzy kładą się na miękkich siedzeniach. Wkrótce obserwuję mało estetyczne sceny, a marynarz obchodzący pokład z wiaderkiem wody i szczotką ma wiele roboty. Ja trzymałem się jakoś dzielnie.

Lecz jak w amerykańskim dramacie kinowym wszystko się kończy dobrze. Optymizm zwycięża i na skalistej wyspie Capri znowu króluje radość.

A przed zawinięciem do przystani na Grande Marina była grota — Azzurra. Tak śmiesznie się tam wjeżdża na łódkach oprócz przewoźnika mieszczących dwie osoby. Wąski otwór u samego morza, tak że podczas przypływu woda z szumem wdziera się do wnętrza, aby za chwilę kipiąc spieniona rzucić się z powrotem. Trzeba uchwycić moment między jednym a drugim przypływem, ale to się nie zawsze udaje, i nieraz szumiące piekło wody rzuca się na łódkę emocjonując dystyngowane Angielki. Trzeba się położyć na wznak, aby głową nie uderzyć o skałę w niskim otworze. Ale gdy przewoźnikowi, który trzymając się zawieszonej żelaznej linki u wejścia wciąga łódź do środka, uda się nareszcie wpłynąć do wnętrza, przed oczyma oszołomionego kąpielą turysty otwiera się widok niezwykły i tak nierealny w swym pięknie, że wydaje się raczej efektem wywołanym przez ogień bengalski niż tworem natury. Gdy widziałem przedtem barwne pocztówki z grotą lazurową, uważałem ten kolor za przesadę. Tymczasem w istocie woda jest najzupełniej lazurowa, sklepienie szaroblękitne, nawet twarze i ręce obecnych nabierają jakiegoś widmowego niebieskiego koloru.

Parę godzin do odjazdu statku poświęciłem na kontemplowanie widoku i ablucje morskie. Nie ma tu plaży, wybrzeże kamienno-skaliste, w pobliżu przystani miejsca specjalnie dla kąpieli otoczone linami umocowanymi do wbitych w dno pali.

Co za rozkosz nurzać się w ten skwarny dzień sierpniowy w ożywczej chłodnej wodzie a potem siedząc na mokrych kamieniach zapatrzeć się w błękitną roztocz z widniejącym na wprost cyplem sorrentyńskim oddzielającym dwie zatoki. Upał obezwładniał. Nie chciało mi się wspinać po kamiennych schodach do miasteczka, obiad zjadłem w nadbrzeżnej restauracji, po czym zrezygnowawszy z obejrzenia willi Tyberiusza wylegiwałem się w cieniu czekając na odpłynięcie mojej „Fouiny".

Ale Capri i groty (bo oprócz lazurowej są jeszcze inne) to tylko jedna z atrakcji okolic Neapolu. A jest ich tak wiele. Można popłynąć na drugą wyspę Ischię, pojechać do znanego z popularnej pieśni Sorrento, do umarłego miasta Pompei, na Wezuwiusz i zwiedzić jeszcze wiele, wiele różnych miejscowości. Neapol tym się właśnie różni od innych miast włoskich, że będąc sam mniej ciekawy, ma za to prześliczne okolice.

Dochodziłem do wniosku, że mapa Włoch jest źle nakreślona. Wycieczka turystyczna powinna się właśnie od Neapolu zaczynać, a nie na nim kończyć. Tymczasem zanim się człowiek wyrwie z drogiej Wenecji, z przepełnionego pielgrzymami kosztownego Rzymu, zanim wreszcie zdobędzie trochę doświadczenia w podróży, — na Neapol pozostają tylko resztki z przeznaczonych na wycieczkę pieniędzy i trzeba uciekać. A naprawdę jest tu tak pięknie, że chciałoby się pozostać jak najdłużej.

Ale Pompeję musiałem jeszcze zwiedzić. Wsiadłem więc nazajutrz do wygodnej i czyściutkiej kolejki elektrycznej zataczającej duży krąg wokół podnóża Wezuwiusza (tzw. Ferrovia Circumvesuviana). Z okien wagonu roztaczał się piękny widok: po jednej stronie wyniosły stożek wulkanu, po drugiej szafir rozsłonecznionej zatoki. Kolejka, pędząc wśród gajów pomarańczowych i pnączy winorośli, na których zwieszały się już ciężkie dojrzewające grona, po pół godzinie zatrzymała się na małej stacyjce. O kilkanaście kroków dalej, zaopatrzony w bilet wstępu, minąwszy bramę zwaną Porta Nolana, znalazłem się na terenie odkopanego miasta.

Dziwne to uczucie — stąpać po milczących ulicach bogatego ongiś miasta, gdzie kwitło najbujniejsze życie, i patrzeć na doskonale zachowane domy, dziś samotne i puste. Natura w swym okrutnym wybryku stworzyła dla nas starożytny skansen.

Oto kroczę przez ulicę wybrukowaną tak świetnie, że moje miasto rodzinne mogłoby pozazdrościć, widzę głębokie wyżłobienia od ciężkich karet, które tędy przejeżdżały, na skrzyżowaniach dróg sterczące duże kamienie wskazujące przejścia, gdzieniegdzie studnie, kanalizacyjne przewody — dziś wszystko porzucone, niepotrzebne, bezużyteczne — zabawa dla oczu procesyj turystycznych.

Oto błąkam się po pokojach starego domu rzymskiego. Jego rozkład — od vestibulum i atrium przedłużającego się w tablinum poprzez perystyl do triclinium, i viridarium, z bocznymi ubikacjami mieszkalnymi — to dla mnie poglądowa lekcja — unaocznienie tego wszystkiego, o czym się czytało u Sienkiewicza i innych pisarzy.

W niektórych znaczniejszych domach, jak np. w Casa del Vetti, pozostawiono wiele rzeźb i malowideł, inne po większej części zostały przeniesione do Muzeum Narodowego w Neapolu, gdzie je miałem możność obejrzeć nazajutrz. W tych domach i viridaria są pięknie utrzymane, zdobią je palmy, mirty, kaktusy i prześlicznie kwitnące oleandry.

Pompeja miała aż dwa teatry, z których jeden mógł pomieścić pięć tysięcy, a drugi tysiąc pięćset widzów. Są tu też ruiny amfiteatru, oczywiście dużo mniejszego od Colosseum, ale bardzo dobrze zachowanego.

Jednak najsilniejszego wrażenia doznałem na samotnej, smutnej ulicy grobów, tzw. Strada dei Sepolcri. Może dlatego, że byłem tu absolutnie sam, nie zaglądał tu bowiem żaden turysta. Po obu stronach drogi ciągną się szeregi grobowców z napisami, kto w nich spoczywa i jaką godność piastował. W grobowcach tych znaleziono dużo ciekawych zabytków, — urny z popiołami zmarłych, rozmaite emblematy żałobne, szczątki kości. Jest to najlepiej zachowana część miasta, ale chyba i najsmutniejsza. Takie cmentarzysko na cmentarzu Pompei.

W małym muzeum widziałem różne przedmioty odkopane z popiołów i lawy, między innymi ziarna soczewicy, zwęglony chleb, figi, kurze jaja, rozmaite naczynia a przede wszystkim gipsowe odlewy ciał ludzi, którzy zginęli w czasie zburzenia miasta.

Po zwiedzeniu muzeum wracałem już na stację, kiedy zatrzymawszy się przed Termami Stabijskimi i opędzając się przed natrętnymi przewodnikami usłyszałem nagle prowadzoną po polsku rozmowę jakiejś młodej pary. Jakież było moje zdziwienie, kiedy nagle usłyszałem najwyraźniej słowa: „O, tego pana, zdaje się, że znam z Chełma!" Oczywiście natychmiast obróciłem się w stronę mówiącej. Poznałem w niej nauczycielkę p. Wisię L., która dość dawno już opuściła moje miasto i którą przed paroma laty spotkałem w Zakopanem. No i czyż to nie jaskrawy dowód, jak mała jest nasza ziemia! Po krótkiej rozmowie z rodaczką i kiepskim obiedzie z doskonałym winem spożytym naprędce w pompejańskiej restauracji wróciłem do Neapolu.

Następny dzień poświęciłem zwiedzaniu Muzeum Narodowego i najbogatszego na świecie akwarium w ogrodzie miejskim, zwanym Villa Nazionale. Za olbrzymimi taflami szkła w wielkich basenach z wodą morską pływają fantastyczne twory od prześlicznych meduz o delikatnych chryzolitowatych śluzowatych ciałkach, gemetrycznych rozgwiazd, koników i jeży morskich, do potwornych ośmiornic, krabów i mnóstwa nie znanych mi nieraz bardzo dziwacznych ryb i rybek.

Wieczorem tego dnia miałem już odjechać. Na razie do Wenecji, gdzie trzeba się było zatrzymać dla kupienia biletu wprost do Warszawy. Wieczór w Neapolu to gwar nie do opisania, to śmiechy neapolitanek, dźwięki gitar, śpiewy ulicznych pieśniarzy. Powietrze ciepłe, przesycone zapachem kwiatów, wszystko cieszy się, śpiewa i przekrzykuje radośnie, a ja samotny ze smutkiem błąkam się wśród tego ogólnego wesela, myśląc, że oto się już kończy ta prześliczna podróż, że trzeba będzie pożegnać Italię, którą Sienkiewicz tak pięknie nazwał drugą ojczyzną każdego kulturalnego człowieka.

Wyjeżdżając z Neapolu miałem już bardzo mało gotówki — niewiele więcej, niż kosztowała droga powrotna. A tu jak na złość przybyłem do Wenecji za późno: nie zdążyłem już na pośpieszny do Wiednia, trzeba było przenocować, bo następny odchodził rano.

Na pokoik w hotelu jeszcze lirów starczyło, ale na kolację już nie mogłem sobie pozwolić, a tu żołądek natarczywie domagał się daniny. Zafundowałem sobie jedyną w swoim rodzaju wieczerzę — najtańszą we Włoszech — ale nie można powiedzieć, żeby zbyt posilną: kilo brzoskwiń, które popiłem litrem Chianti. Na głodno — wystarczyło: poszedłem spać w bachicznym nastroju i omal że się nie spóźniłem na pociąg.

(Fragment wspomnień pt. „Koniec seansu". Książka ukaże się w br. nakładem Wydawnictwa Lubelskiego).

UCIECZKA

Zdzisław Morawski

Miód jest cieniem kwiatów.

Pochwaliłeś mnie w ustroniu szklanką miodu. Piliśmy szczęście prosto z ula i czerpiąc stamtąd nauki o wiecznej mocy światła śpiewaliśmy prostą piosenkę o miłości, ale bez zakończenia.

Baliśmy się iść dalej niż można, gdyż za horyzontem ustronia cień wychodzi spod liści i staje się towarzyszem człowieka.

Łagodny, pełen wspaniałej wróżby chłodu, pełen woni polnego kwiecia cień staje się śladem mogiły, kreśli twoje wymiary człowieku. O zmroku powieki twoje opadną w dół, jak by chciały przysłonić rytm dnia i zamknąć w sobie twój cień człowieku kochany jak życie, przytrzymaj w oczach obraz nim przyjdzie sen i wyśni dziką ścieżkę, po której szedłeś w pełnym upojeniu rankiem, a pod stopy kładł ci dywan własny cień.

Łąki halne i nizinne przyjmowały twoje stopy chłodem, albowiem chłodne były stopy twego cienia.

Szczęście twego chodu było wielkie, jak obszar spokojnego smutku, który nikogo nie raduje zielenią ani nikomu nie urąga wzniesieniem.

Kiedy otworzyłeś powieki, człowieku z równiny, twój cień piął się na zbocze, a cienista twoja ręka opierała się o cienisty kij wypalony z jałowca.

Uśmiechnięty patrzyłeś w płaski uśmiech cienia.

A kiedy położyłeś się na równinie, cień obrysował twój znak dookolnie i bez najmniejszego błędu, jak najwspanialszy krawiec. Wtedy z dołu zobaczyłeś człowieka, który uciekał przed cieniem. Był to wielki czarodziej, który wytrzymywał każde ukłucie cierniem, a krzyżowe blizny na ciele nazywał kwiatami. Wielki Joga odejmował od ust najpiękniejsze kęsy zdań i rzucał je za siebie, jak ofiary.

Ginęły porwane przez wiatr lub opadały na łąkę kwiatami, lecz obdarowane kawałkami cienia.

Tak siejąc kwiaty zmniejszał własny cień.

Wtedy człowiek chudego cienia wyjął z kieszeni ostatnią kromkę chleba i skubiąc go na drobiny i rzucając za siebie wołał:

— Masz, weź, nie zjedz mnie.

Cień powtarzał za nim gest za gestem, a echo wołania opadało mrokiem nocy, w której nakarmiony cień nagle wyolbrzymiał tak bardzo, że zupełnie zniknął.

Szwajcarski uczony Jean Jacques Babel wyliczył, że w okresie ostatnich 5 559 lat ludzie przeżyli 14 513 wojen, w których zginęło ogółem trzy miliardy sześćset czterdzieści milionów osób. Ale istnieją jeszcze inne szacunki. Francuz Passy twierdzi bowiem, że liczba ofiar, jaką pochłonęły wojny na kuli ziemskiej od zarania dziejów do czasów dzisiejszych, wynosi około 15 miliardów.

Sprawy historyków

Największe zło

Zygmunt Mańkowski

SPOJRZENIE na dzieje ludzkości z punktu widzenia wojen doprowadza do szokujących wyników. Gdyby przyjąć za wiarygodne wyliczenia J. J. Babela, a są one w istocie dość ścisłe, to na przestrzeni 55 wieków wojny wybuchały na świecie przeciętnie trzy razy w roku. Inny uczony wyliczył pracowicie, że w ciągu ostatnich 3 600 lat dziejów ludzkości dają się zarejestrować jedynie 292 lata względnego pokoju. Niektóre państwa oddawały się wojnom ze szczególną zaciekłością. Np. Wielka Brytania w ciągu 200 lat XVIII i XIX wieku walczyła w sumie 108 lat (uczestnicząc w 42 wojnach), Rosja carska — 102 lata (25 wojen), Francja 85 lat (31 wojen). Wojny te pociągały za sobą olbrzymie ofiary. Np. w wojnach napoleońskich poległo 1,5—2 milionów Francuzów, a we wszystkich armiach, uczestniczących w tych wojnach — około 6 milionów osób różnych narodowości. Niekiedy wojny trwały przez długie okresy. Swoisty rekord pobiły Turcja i Wenecja, które toczyły z sobą wojnę trwającą 55 lat, nie mówiąc o znanej stuletniej wojnie między Anglią i Francją.

Refleksje na ten temat mają tylko w pewnej części charakter historyczny. Wraz z rozwojem cywilizacji, techniki i kultury zjawisko wojen nie zanika — lecz przeciwnie, wzmaga się i potęguje. Wojny współczesne stają się coraz bardziej okrutne, a zastosowanie nowych wynalazków i technik pociąga za sobą coraz bardziej masową rzeź. W wieku XX, z którym ludzkość wiązała tak wielkie nadzieje, wybuchły dwie wielkie wojny światowe, które pochłonęły prawdopodobnie około 50 milionów ofiar! W ich toku niejednokrotnie toczono bitwy, w których liczba ofiar w zabitych i rannych sięgała kilkaset tysięcy żołnierzy (Somma, Verdun, Stalingrad). W obronie Leningradu poległo lub zmarło z głodu około 800 tys. ludzi.

Tendencje, ku którym zmierza świat, przekraczają ludzką wyobraźnię. W latach przed II wojną światową militarysta i teoretyk wojskowości włoski generał Giulio Douhet pisał m. in.: *Bombardowanie lotnicze, które zmusi do ewakuacji miasto o kilkuset tysiącach mieszkańców, będzie miało większy wpływ na ostateczne zwycięstwo, aniżeli bitwa tego typu, jakich wiele stoczono w ostatniej wojnie.* Zalecał więc bezwzględne nękanie tyłów, masowe mordowanie ludności cywilnej dla, jak się wyrażał, *całkowitego załamania struktury społecznej i morale atakowanego narodu.* Jego wywody, lekceważone przed wybuchem wojny, stały się ponurą rzeczywistością. Dwie bomby rzucone w 1945 roku na Hiroszimę i Nagasaki, unicestwiły w jednej sekundzie ćwierć miliona ludzi, a wiele tysięcy skazały na powolną, nieuchronną śmierć.

Od II wojny światowej w orbitę rzezi wciągnięte zostały więc nie tylko armie regularne i bliskie zaplecza frontu, lecz praktycznie cała ludność cywilna walczących państw. Faszyzm niemiecki praktykę tę uzupełnił o jeszcze nowe zjawisko — masową eksterminację i ludobójstwo jako dopełnienie wojny. W wyniku tej polityki np. w Polsce wskutek bezpośrednich działań wojennych poległo około 650 tysięcy ludzi, a w wyniku eksterminacji ponad 5 milionów!

Wszystko to skłoniło wielu historyków i humanistów do żarliwego zajęcia się problemem wojen w życiu ludzkości. Obecnie powstaje cała nowa dziedzina teoriopoznawcza tego zjawiska, która wyłoniła wiele sprzecznych teorii i poglądów na ten temat. Szkoła marksistowska traktuje wojny jako najdotkliwszą plagę, która dręczy ludzkość od zarania jej dziejów. Nie mogła ona nie dostrzec, że wojny *pojawiły się w wyniku powstania własności prywatnej, klas antagonistycznych i państw.* Powołuje się ona zresztą i na znane określenie Arystotelesa, że *wojna jest sztuką zdobywania niewolników.* Lenin wielokrotnie podkreślał, że wojna *jest kontynuacją polityki przy użyciu środków przemocy* oraz, że *położenie kresu wojnom, pokój między narodami, ustanie grabieży i gwałtów* — to podstawowe ideały socjalizmu. Niszcząc dawną strukturę własnościową i modelując nowe stosunki ustrojowo-społeczne, marksiści usuwają podstawowe przesłanki przyszłych wojen. Ten punkt widzenia przenikał działania komunistów na całym świecie — i jest praktycznie jedynym konsekwentnym i realnym ruchem, dążącym do wyprowadzenia ludzkości z obłędu *samopożerania się.*

Istnieją jednak i rozwijają się teorie przeciwstawne, w większym czy mniejszym stopniu dokonywające apologii zjawiska wojny, jako wynikającego rzekomo z naturalnych, biologicznych czy etycznych skłonności rodzaju ludzkiego. Niektórzy z teoretyków nazywają wojnę *katalizatorem*, który w sposób naturalny zapobiega przeludnieniu i wygłodzeniu kuli ziemskiej (tak twierdzą neomaltuzjańczycy). Teoretyk niemiecki Lange przyczyn wojny szukał np. w instynkcie ludzi, zmuszonych stale do walki o byt. Powtarzał za Hobbsem: *człowiek człowiekowi wilkiem.* Inni zrodzili teorię „etyczną", według której pokój identyfikują z zastojem i zwyrodnieniem cywilizacji. Wojna, według nich, hartuje pokolenia, tworzy w nich mobilność wewnętrzną, podnieca ich energię itp. Jeszcze inni teoretycy, nawet gdy widzą szkodliwość wojen, przemycają teorie o *szczególnie dodatnim wpływie militaryzmu i wojen na postęp techniczny.* Nie trzeba dodawać, że wszystkie te teorie powstają w kręgach militarystycznych, reakcyjnych i zaborczych.

Ludzkość jednak pragnie czego innego i przez wiele pokoleń snuła marzenia-utopie o *mądrym życiu w wielkiej rodzinie człowieczej*, o życiu pozbawionym gwałtów, nędzy, okrucieństwa i śmierci, zadanej przez bliźniego. W wieku wielkich nadziei i postępu, w epoce Oświecenia, wybitny filozof francuski Condorcet pisał: *Wierzę w zdolność rodzaju ludzkiego do nieskończonego doskonalenia się i dlatego sądzę, iż rodzaj ludzki będzie na drodze ku pokojowi, wolności i równości, a więc na drodze ku szczęściu i cnocie, czynił postępy, których kresu nie sposób oznaczyć... Obraz rodzaju ludzkiego wyzwolonego z wszelkich pęt, oswobodzonego z władzy przypadku i wrogów postępu, zdecydowanie zmierzającego ku prawdzie, cnocie i szczęściu, jakżeż jest wielką pociechą dla filozofa wobec ogromu błędów, zbrodni i niesprawiedliwości, które wciąż jeszcze kalają ziemię i których ofiarą niejednokrotnie sam pada.*

Owa wiara przenika i dziś milionowe rzesze ludzi na świecie. Wojna jest okrucieństwem, którego sensu i istnienia nie da się wytłumaczyć żadnymi racjonalnymi przesłankami. A jednak *ludzie ludziom gotują ten los.*

Problem wojen nie wyczerpuje się w analizie dni, miesięcy i lat, strawionych na działaniach wojennych. Nie tylko ekonomiści uważają, że wojny nigdy nie kończą się naprawdę z chwilą podpisania rozejmu. Po zakończeniu wojny następne pokolenia porażone są brakiem równowagi psychicznej, brakiem zdolności przystosowania się do nowych warunków, brakiem stabilności i wiary w przyszłość.

Doświadczenie ludzkości pokazuje również, że natychmiast po zakończeniu wojny zarówno państwa pokonane jak i zwycięskie, a także państwa dotąd nie zaangażowane, przeżywają paroksyzm nowych zbrojeń i „mobilności", mających ich uchronić przed nowym przykrym doświadczeniem, lub stworzyć warunki do rewanżu. W ten sposób rodzi się histeria wojenna, z której wyjść nie sposób. W 1937 roku Niemcy hitlerowskie przeznaczyły na zbrojenia 80 proc. swego budżetu. Po drugiej wojnie światowej wydatki wojskowe na świecie rosły systematycznie i obecnie szacuje się je na około 180 miliardów dolarów rocznie. Obecnie pod bronią znajduje się na świecie około 20 milionów ludzi, czyli 0,6 proc. ogółu ludzkości. Według obliczeń polskiego specjalisty T. Pióro w ciągu powojennego dwudziestolecia miało już miejsce ponad czterdzieści konfliktów zbrojnych na świecie. W niektórych z nich brały udział znaczne siły zbrojne. Np. w wojnie francusko-algierskiej — ponad milion żołnierzy, w Wietnamie — 1,5 miliona (500 tys. Amerykanów, 750 tys. żołnierzy reżimowych oraz 250 tys. partyzantów). Wszystkie one pociągnęły za sobą olbrzymie ciężary gospodarcze, ofiary w ludziach i stany napięcia na całym świecie.

Wszystko to jest z punktu widzenia interesów ludzkości bezproduktywne i grozi nieobliczalnymi konsekwencjami. Historiozofowie zadają sobie pytanie: czy ludzkość się ocknie? Czy dążenie do dobra jest silniejsze od zła? Warto się nad tym zastanowić w 30 rocznicę wybuchu jednej z najstraszniejszych w dziejach ludzkości wojen. Jeszcze ziemia bez reszty nie pochłonęła prochów ofiar II wojny światowej, jeszcze wśród nas żyją ludzie, którym wojna zabrała wszystko — ojców, matki, zdrowie i koszmarem położyła się na ich życiu psychicznym. Ale co nas czeka?

Struny pamięci

Dokończenie ze str. 1

oni zmarłych wojowników. Dwa lata temu Kock obchodził swoje 550-lecie jako miasto, ale pierwsze wzmianki o nim pochodzą z 1229 roku, zapisane w kodeksie mazowieckim.

Najpierw duchowne, potem królewskie miasteczko dostało się w końcu w ręce prywatne: Zygmunt Stary wynagrodził nim zasługi Mikołaja Firleja, hetmana wielkiego koronnego, kasztelana krakowskiego. Potem Kock staje się własnością Sapiehów i przechodzi pod zarząd Anny Jabłonowskiej, wojewódziny bracławskiej. Pani to była dużych aspiracji i niepośledniego rozumu. Kock się rozwija, prężnieje rzemiosło i handel, księżna dla swoich poddanych opracowuje drobiazgowe przepisy, które zatwierdza Sejm Czteroletni. Wznosi wspaniałą rezydencję, istniejący do dziś piękny pałac. Przy rozbudowie miasteczka przestrzega klasycystycznych wzorców urbanistycznych, czego ślady pozostały do chwili obecnej w regularnych liniach placu rynkowego, w harmonijnie rozmieszczonych akcentach plastycznych jego architektury i w jej stylu.[1]) Kock i Siemiatycze stara się uczynić przodującymi ośrodkami kultury i gospodarki. Gości w Kocku Krasickiego, Naruszewicza, Kołłątaja, Trembeckiego, Karpińskiego i osoby koronowane, poczynając od króla Stasia. Ale jej reformy nie zdały egzaminu, majętności zajęli wierzyciele, co się równa jeżeli nie upadkowi, to w każdym razie chudszemu okresowi w dziejach Kocka. Dumnie on jednak przypomina, że do jego sławnych obywateli należy Ludwik Osiński, przeciwnik Mickiewicza w sporze klasyków z romantykami, późniejszy dyrektor Teatru Narodowego i profesor literatury powszechnej na uniwersytecie warszawskim. Kto nie słyszał o bohaterze powstania kościuszkowskiego, Berku Joselewiczu; jego mogiła, zwana „kopcem Berka", znajduje się w pobliżu miasteczka. A jakby się uprzeć, Kock mógłby się znaleźć w sferze tegorocznej „napoleoniady" z okazji 200 rocznicy urodzin sławnego Korsykanina; pół żartem pół serio, ale nie omieszkają tu wskazać dużej drewnianej siedziby, wiekowego dworku mocno wlazłego w ziemię, w którym miał się zatrzymać rzekomo cesarz Francuzów w czasie odwrotu spod Moskwy.

Ostatnia warstwica historii jest najbardziej obecnie interesująca. Ona to sprawia, że Kock trafia na karty opracowań naukowych, pamiętników i wspomnień, na szpalty gazet, przechodzi do ustnej legendy. W tym rejonie, w okolicach wsi Talczyn, Poizdów, Białobrzegi, Charlejów, Annopol, Adamów, Serokomla. Wola Gułowska rozegrała się ostatnia wielka bitwa regularnej armii drugiej Rzeczypospolitej w kampanii wrześniowej, zwana bitwą pod Kockiem. Stoczyła ją, jak wiadomo, Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie", dowodzona przez generała brygady Franciszka Kleeberga. Sprawa znana jest ogółowi w grubszych zarysach. Na wieść o tym, że naczelne dowództwo przekroczyło granicę rumuńską — Kleeberg postanowił cofnąć się na zachód, w głąb kraju. Jego pierwszą myślą było pospieszyć na pomoc walczącej Warszawie, a gdy stolica skapitulowała, zamierzał przedrzeć się do Dęblina, zdobyć uzbrojenie i nadal walczyć. Szerokim echem w dniach tragicznych odbiła się decyzja niezłomnego generała. Porozmawiajcie z uczestnikami wrześniowej pożogi, kto o nim nie słyszał? A wszyscy pragnęli dotrzeć do niego, znaleźć się pod jego rozkazami, ratować to, co już faktycznie było nie do uratowania. Podporządkowują mu się duże jednostki wojskowe, napływa do jego szeregów tysiące zapaleńców, tych, którzy nie pozbyli się nadziei.

Kolumnom marszowym zagrodziły drogę dywizje niemieckie. W dniu 2 października, na północny zachód od Kocka, rozgorzały zacięte i krwawe walki, które mimo przewagi liczebnej wroga i lepszego jego uzbrojenia nie stały się w sumie klęską Polaków. Zgrupowanie zostało jednak okrążone, a najważniejsze — zabrakło mu amunicji. Nie było innego wyjścia — w dniu 6 października oddziały polskie złożyły broń w wyznaczonych do tego punktach. Jak podaje komunikat niemiecki, *do niewoli dostało się 2 dowódców dywizji, 1255 oficerów i 15 605 szeregowych*, wiele sprzętu. Wziętych do niewoli czekały obozy jenieckie na terenie Niemiec. Obozu nie uniknął sam Kleeberg. Zmarł 5 kwietnia 1941 w szpitalu w Weisser Hirsch koło Drezna i tam został pochowany[2].

— Pola usłane były trupami. Chłopi grzebali je tam, gdzie kto padł. I to właśnie nie dawało ludziom spokoju. Nie mogli sobie darować, że ci najodważniejsi, najofiarniejsi nie mają niekiedy marnego krzyżyka, że ich mogiły rozmywa deszcz. Z inicjatywy nauczycieli, wystarano się u władz okupacyjnych o pozwolenie i przeniesiono zwłoki wszystkich poległych w pobliżu Kocka na osobny cmentarz. Wybrano miejsce, gdzie były okopy, gdzie toczył się najzaciętszy bój. Równocześnie burmistrz podjął się ustalenia nazwisk zabitych, co mu się już wtedy nie w pełni udało, bo z ponad 80 tutaj pochowanych większość spoczywa pod szorstkim nagrobnym znakiem: „Żołnierz Nieznany poległ na Polu Chwały". Nieznany. A przecież nie był on nie znany dla kogoś, kto go urodził, kochał i na niego czekał. I nie doczekał się. Pani rozumie, co to jest wojna? Od pierwszych lat po tej bitwie mamy wielu gości. Najpierw przyjeżdżały rodziny zaginionych szukać jakichś śladów i parę osób zidentyfikowano. Przyjeżdżali ci, którzy ocaleli, dzięki pomocy w szpitalu. Wypytywali, czy jeszcze żyje ta starsza pani, co się tak o rannych starała. I wciąż przyjeżdżali ci, co tu walczyli. Ot tak, z sentymentu — podumać, popatrzeć na te pola, które były areną zmagań, położyć kwiaty na grobie kolegi. Ci się upominali: nie może tak być, żeby to czas przyklepał.

O zapomnieniu nie było mowy, ludzie by nam nie dali! Kiedy zbliżało się 20-lecie, to my tu w Prezydium MRN postanowiliśmy zrobić, co w naszej mocy. Zdobyliśmy trochę grosza, ogrodziliśmy cmentarz, uporządkowali żołnierskie kwatery, krzyże drewniane zamienione zostały cementowymi, umieściliśmy pośród nich tablicę pamiątkową. Nasz społeczny komitet obchodów tej rocznicy wystosował apel do wszystkich uczestników bitwy (był drukowany w licznych gazetach), żeby nadsyłali wspomnienia i relacje. Tak nam się wydawało, że z tego może powstać jakaś historyczna praca, duża książka, bo jest bardzo potrzebna. Listów nie nadeszło wiele, garść ich jest w posiadaniu nauczycieli, bo oni nie zrezygnowali, obiecują coś napisać. Na uroczystości przyjechało wielu żołnierzy Kleeberga, bardzo dziękowali, żeśmy ich powiadomili, zaprosili. Przyjechała jego żona. Ona mówiła, że zwłoki powinny być sprowadzone do Polski i pochowane na Powązkach w Alei Zasłużonych. Przypominam sobie, że ktoś się sprzeciwił, bo znał życzenie generała. Od podobnież sam wyznaczył sobie miejsce po śmierci, wyznał, że chciałby się znaleźć wśród swoich podwładnych na polach pod Kockiem. Tak by to powinno być, moim zdaniem, takie jest też społeczne odczucie. W ub. roku na miejscu płyty postawiliśmy pomnik i jest tam wyryte: *Wieczna chwała obrońcom ojczyzny poległym w walce z hitlerowskim najeźdźcą w 1939 r.* Cmentarzem opiekują się harcerze i koło LOK...

Tyle powiedział mi sekretarz prezydium, Jan Mitura.

Jesień zaciągnęła już swoje warty. Obnażone pola, dużo zrudziałych zagajników, olszyn, dębniaków ostatnie astry pośród spustoszonych grząd. Polne drogi, wysadzone starymi drzewami, wiodą gdzieś ku dalekim zabudowaniom w sąsiedztwie lasów ciemnych i milczących. Między tymi pagórkami, wśród tych zagajników, olszyn, dębniaków „wchodzili w styczność z wrogiem", bronili się i atakowali, przeżywając chwile tryumfu i rozpaczy. Gdzieś na tych zagonach walczył w pierwszym szeregu, z karabinem w ręku jak prosty żołnierz, bo szukał kuli, bo chciał zginąć, bo im się zdawało, że to koniec Polski. Ale nie zginął, umiał przezwyciężyć zwątpienie, jest autorem słów, o których zwyczajni ludzie mówią, że są bardzo piękne: *Z dalekiego Polesia, znad Narwi, z oddziałów, które się oparły demoralizacji, zebrałem Was pod swą komendę, by walczyć do końca. Chciałem iść najpierw na*

Kamena str. 6

Wrzesień i pióro

Marek Adam Jaworski

Fot. Danuta B. Łomaczewska

UCZESTNICZYŁEM już w wielu zjazdach pisarzy ziem zachodnich i północnych, żaden jednak nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jak zjazd dwunasty.

1 września. Godzina 11. W gdańskim teatrze „Wybrzeże" inauguracja wielkiego spotkania pisarzy. Wśród gości — członek Biura Politycznego KC PZPR, sekretarz KC, Zenon Kliszko, sekretarz KC, Stefan Olszowski, kierownik Wydziału Kultury KC, Wincenty Kraśko, minister Kultury i Sztuki, Lucjan Motyka, gospodarze województwa — członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz gdańskiego KW, Stanisław Kociołek i przewodniczący Prezydium WRN, Tadeusz Bejm.

Tego dnia pogoda była tak samo promienna, a nad wieżą Ratusza głównomiejskiego, nad głową polskiego króla, połyskującą w słońcu, unosiło się stadko gołębi. Potem — poprzez wszystkie bezchmurne i słoneczne wrześnie — zachowaliśmy uraz do wrześniowej pogody, choć to na pewno niesprawiedliwe dla słońca i nieba, dla pięknej polskiej jesieni. Wtedy bowiem i słońce było przeciwko nam...

Stanisława Fleszarowa-Muskat, prezeska Zarządu Oddziału ZLP w Gdańsku, mówi ze wstrząsającym patosem. W trzydziestolecie Tamtego Września przywraca pamięci dni naszej klęski, która stała się jednak początkiem naszego zwycięstwa. Wielu obecnych na sali ma łzy w oczach, lecz tych łez nikt się teraz nie wstydzi, nie ociera dyskretnie. Średnie i starsze pokolenie ma swoje własne, bardzo osobiste wspomnienia.

Słucham słów Fleszarowej i przed oczyma rozwija się mój film z 1939 roku. Chełm Lubelski. Drewniany domek przy ul. Reformackiej 43, stanowiący i redakcję „Kameny" i prywatne mieszkanie jej założyciela. Dziesiątki literatów uchodzących z płonącej Warszawy tu właśnie szukało chwilowego schronienia. Jalu Kurek pożyczał ode mnie, wówczas 10-letniego chłopca, różne „Buffallo Bille", „Harry Diksony", „Lordy Listery" szukając w tej brukowej lekturze zapomnienia. Do dziś słyszę triumfalny głos Adama Polewki, któremu udało się zdobyć na mieście głowę cielęcą. Widzę pukającą do drzwi Wandę Wasilewską. Czuję tę ciszę, która nagle zapanowała w pokoju na wieść, że Józef Czechowicz zginął od bomby hitlerowskiej w Lublinie.

Pierwsze bombardowanie Chełma. Słowa Jerzego Kamila Weitrauba: „W małym mieście jeszcze gorzej znosi się nalot niż w Warszawie..." A jeszcze przed kilkoma godzinami mówił: „Ale tu u was sielanka!"

Po trzydziestu latach film często się rwie, taśma ma wiele luk, a jednak szereg drobnych na pozór szczegółów urasta do symbolu.

W trzydziestą rocznicę wybuchu wojny — w Gdańsku, w mieście w którym się zrodziła, z którego wzięła kłamliwy pretekst i początek — rozpoczyna obrady XII Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych. W Zjeździe tym, prócz pisarzy z tych środowisk, biorą udział autorzy z całego kraju, posiadający w swym dorobku wybitne dzieła o tematyce ostatniej wojny. Udział w zjeździe, którego obrady toczyć się będą w szczególną dla naszego narodu rocznicę, świadczy nie tylko o głębokim powiązaniu współczesnej literatury polskiej z najistotniejszymi problemami narodu, ale także o jej inspirującej roli w bezustannym utrzymywaniu pamięci narodowej, w kształtowaniu narodowych uczuć, a poprzez te manifestacje w bezustannym proteście postępowych pisarzy całego świata przeciw wojnie. Ukazywanie zbrodni i grozy rozpętanej przez hitleryzm wojny nie jest [...] obsesją pisarzy polskich...

Po przemówieniu Stanisławy Fleszarowej-Muskat powitalne przemówienie wygłasza przewodniczący Prezydium WRN, Tadeusz Bejm, po czym Wilhelm Szewczyk zaprasza do zabrania głosu Zenona Kliszkę.

Przemówienie Zenona Kliszki publikowała cała prasa codzienna. Nie mam zamiaru streszczać bogactwa myśli zawartych w tym wystąpieniu. Niemniej warto podkreślić słowa, w których przedstawiciel najwyższych władz partyjnych zwraca uwagę na fakt, że Wrzesień był także początkiem wielkiego zrywu sił twórczych polskiej kultury. Jeśli szukamy genezy przemian w klimacie duchowym środowisk twórczych, to winniśmy właśnie powrócić do okresu wojny i okupacji. *Martyrologia i walka Polaków, niebezpieczeństwo zagłady całej kultury, całego narodu polskiego, ukształtowało bowiem nową postawę życiową, społeczną i twórczą naszych pisarzy. Odrodziły się wówczas najlepsze tradycje sięgające czasów romantyzmu. Na polskich drogach wojennych i okupacyjnych wędrówek zrodziło się nowe poczucie związku z losami szerokich mas narodu. Runęło teraz poczucie inteligenckiego osamotnienia.*

Zenon Kliszko przypomina, że od narodzin Polski Ludowej ogromna większość polskich pisarzy dała wyraz swej aprobacie dla przemian demokratycznych i reform społecznych dokonywanych w Polsce przez lud pracujący. Afirmację wartości humanistycznych połączyła z oskarżeniem faszyzmu i hitlerowskich zbrodni. Nastąpiło znamienne spotkanie wewnętrznych przeobrażeń duchowych naszych środowisk twórczych z kierunkiem partyjnej inspiracji. I jeśli proces wiązania się inteligencji twórczej nie był wolny od wielu komplikacji, oporów i trudności — to kierunek rozwojowy był jednoznaczny.

Nie znalazły silniejszego oddźwięku w polskim świecie pisarskim dekadenckie koncepcje teoretyczno-literackie bezpośrednio związane z rozumieniem funkcji literatury. Koncepcje te, modne w zachodniej krytyce mieszczańskiej, znalazły i u nas niejakie odbicie, łącząc się często z nurtem myśli rewizjonistycznej. Według niektórych teoretyków — literatura miała teraz odwrócić umysł od tego, co rzeczywiste, do tego, co sztuczne. Miała zatem literatura spełniać jedynie funkcje wąsko pojmowanej liryki. Być wyrazem indywidualnych, osobistych emocji i refleksji. Miała zagłębić się w autonomicznych procesach autopoznania, odkrywania siebie jako „sztuki czystej".

[...] Bezideowe estetyzowanie i pomniejszanie społecznej roli literatury nie mogło stanowić programu dla współczesnego polskiego pisarstwa wiernego szczytnym tradycjom polskiej kultury literackiej.

[...] Pisarze polscy są wierni społecznemu posłannictwu literatury. Zaangażowani w sprawy współczesności chcą zmierzyć się z wielkością czasów, w których żyjemy i dać im godne świadectwo [...]".

Po przemówieniu sekretarza Zarządu Głównego ZLP, Jana Marii Gisgesa, zebrani jednomyślnie przyjmują apel do pisarzy wszystkich narodów:

...Stąd, z tego miasta, wzywamy Was — pisarzy wszystkich narodów — abyście niezależnie od swych przekonań politycznych, całą siłą Waszych autorytetów moralnych czynili wszystko dla pokojowego współżycia, dla bezpiecznej, twórczej, pokojowej egzystencji narodów...

Południe. Głos syren. Podniosła chwila kilkuminutowego milczenia...

* * *

Westerplatte. Wstyd mi, że jestem tu po raz pierwszy. Fantastyczny pomnik stanowiący symbol bohaterstwa i poświęcenia marynarza i żołnierza polskiego. Dzieło artysty rzeźbiarza doc. Franciszka Duszenki i architekta doc. Adama Haupta. Żołnierze w niebieskich beretach prezentują broń. W delegacji pisarzy składającej wieniec u stóp pomnika — Julian Przyboś. To jego przepiękny wiersz o Wrześniu cytował na Zjeździe Zenon Kliszko:

Huk armat na wysokość łun wzrósł,
niebo wali się z trzaskiem.
Bezbronny, wbity pociskami w grunt,
błagam o karabin jak skazaniec o łaskę
i tylko krzyczę — niecelnie,
z rannych i martwych wstawszy.

W roku 1945, gdy I Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte walczyła o wyzwolenie Gdańska, nie trzeba już było błagać o karabin. Wstaliśmy „z rannych i martwych". Wróciliśmy nad Bałtyk, aby stąd już nigdy nie odejść.

* * *

Dalszy ciąg obrad toczy się w Gdyni na statku „Batory", zamienionym na hotel. Dyskusję zagaja referat Tadeusza Kołuja. *Nic bardziej nie łączy pisarzy polskich* — mówi — *jak wspomniane* (wojna, okupacja hitlerowska — przyp. MAJ) *doświadczenia. Tu nie ma zasadniczych różnic między nami, komunistami i katolikami, partyjnymi i bezpartyjnymi, starymi i młodymi; nie może liczyć na powodzenie żadna próba rozbicia w tym względzie naszej jedności.* Tadeusz Kołuj mocno akcentuje, że w podstawowych konfliktach obecnej epoki — wojny i pokoju, kapitalizmu i socjalizmu — nie jesteśmy bynajmniej postronnymi obserwatorami, zajmującymi postawę pacyfistyczno-neutralistyczną. *Tak, jak jesteśmy za pokojem, tak jesteśmy za socjalizmem, przeświadczeni głęboko, że w ostatecznym rachunku socjalizm i pokój są nierozdzielne.*

Zbigniew Załuski próbuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czym powinna być literatura antywojenna. Stwierdza, że jest literatura przeciw wojnie, którą można różnie wykorzystać, m. in. w celu głoszenia teorii pacyfistycznych, i jest też literatura zapobiegająca wojnie, która ukazuje doświadczenia przeszłości, współczesności, mając ten walor, że nie obezwładnia człowieka grozą wojny. Jeśli dziś uczymy nienawidzieć wojny, karabinu, nie znaczy to, abyśmy nie uczyli równocześnie bronić się. Mówca apeluje do pisarzy, aby w swoich publikacjach stale mieli na uwadze doświadczenia ostatniej wojny. Co rok w życie wchodzą nowe roczniki młodzieży. Nie wolno, aby te roczniki popełniały te same błędy, które myśmy kiedyś popełniali.

Pada wiele wartościowych uwag na temat wojny w literaturze polskiej, mówcy nie zapominają jednak o literaturze naszych sąsiadów — niemieckiej i radzieckiej. O niemieckiej wyczerpująco mówią Wilhelm Szewczyk i Michał Misiorny. Pierwszy podkreśla, że polski Wrzesień nie znalazł prawie żadnego odzwierciedlenia w literaturze niemieckiej. W NRF spotyka się wiele prób gloryfikowania lub przynajmniej rehabilitowania Wehrmachtu. Michał Misiorny poświęca swoje wystąpienie analizie mitu rzekomej „lewicowości" pisarzy zachodnioniemieckich.

* * *

Za rok odbędzie się kolejny zjazd w Zielonej Górze. Zanim to nastąpi byłoby dobrze, aby plon obrad gdańsko-gdyńskich mógł się ukazać w wydaniu książkowym. Masowym wydaniu, aby trafił nie tylko do środowisk intelektualnych, ale przede wszystkim tam, gdzie jest najbardziej potrzebny — do szkół. Sądzę, że Ministerstwo Oświaty powinno podjąć odpowiednie kroki organizacyjne, aby ten postulat został spełniony.

Zjazdy pisarzy ziem zachodnich i północnych przestały bowiem mieć charakter „regionalny", stały się cennym uzupełnieniem ogólnopolskich **zjazdów pisarzy.**

---

południe, gdy to stało się niemożliwe, nieść pomoc Warszawie. Warszawa padła, nim doszliśmy. Mimo to nie straciliście nadziei i walczyliście dalej. Wykazaliście hart i odwagę w masie zwątpień i dochowaliście wierności Ojczyźnie do końca. Dziś jesteśmy otoczeni, a amunicja i żywność są na wyczerpaniu. Dalsza walka nie rokuje nadziei, tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może. Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na siebie. Dziś biorę ją w najcięższej chwili — każę zaprzestać walki, by nie przelewać krwi nadaremnie. Dziękuje Wam za wasze męstwo i waszą karność — wiem, że staniecie — gdy będzie potrzeba. Jeszcze Polska nie zginęła i nie zginie.

Jest w tym rytm wiersza, tchnienie poezji, która towarzyszy każdej wielkości.

Powiększona fotokopia ostatniego rozkazu wisi w sali lekcyjnej w szkole we wsi Wola Gułowska. O tę miejscowość toczył się zacięty bój, kościół i cmentarz przechodziły z rąk do rąk, kosztem niemałych ofiar. Gdy na jednym końcu wsi byli Polacy, drugi zajmowali Niemcy. Przedstawia to dość sugestywnie Marian Brandys w „Ostatniej bitwie"[3], jedynym chyba literackim utworze poświęconym jak dotychczas tej sprawie; kładzie nacisk na mętlik, bałagan, załamanie i rozciąga ten stan rzeczy na całość bitwy, co nie wydaje się słuszne, bo przecież inne oddziały odnosiły sukcesy. Ale znalazłszy się tu po osiemnastu latach stwierdza: *Z pewnością niewiele jest w Polsce miejsc żołnierskiego spoczynku otoczonych przez ludność takim pietyzmem i taką rodzinną troską, jak ten mały cmentarzyk* w Woli Gułkowskiej. Tak jest do dziś — kwitną róże, nie zardzewiał hełm żołnierski wsparty na lancy. I ta szkoła...

Upierają się, że to był czysty przypadek, ale — powiedzmy sobie — znowu jakiś dziwny. Takie przypadki zdarzają się czasem, kiedy różnym ludziom leży to samo na sercu. Tego dnia zeszli się we wsi, żeby coś postanowić. Problem był ważny i pilny do rozstrzygnięcia — zbliżała się 20 rocznica bitwy pod Kockiem, chcieli dać dowód, że nie jest dla nich obojętna ta data. Gdy tak rozważali, nadjechał samochód i zatrzymał się. Okazało się, że to przewodniczący powiatowej rady w trakcie służbowego rekonesansu. Kiedy poznał przyczynę zgromadzenia, stuknął się w czoło: tak, trzeba, i przyłączył się do dyskusji. Nie upłynęło i piętnaście minut, jedzie drugi samochód. Tym razem był to redaktor ze stolicy, tu walczył, przygnało go uczucie lojalności i obowiązku. W tym składzie narodził się pomysł: pomnik, owszem, ale żywy, sugestywny, kształtujący osądy i charaktery. Uznano, że rolę tę może spełnić jedynie szkoła, a właśnie obradowano w ciasnym, podupadłym, prawie walącym się pomieszczeniu. Wkrótce stanął nowy budynek tej szkoły, wzniesiony wysiłkiem ludności w dużej mierze i przy pomocy wojska. Tablica na froncie głosi: *Pamięci bohaterskich żołnierzy walczących z najeźdźcą hitlerowskim w 1939 r. w składzie Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" dowodzonej przez generała brygady Franciszka Kleeberga w 21 rocznicę zmagań tablicę tę funduje społeczeństwo Woli Gułowskiej, OSL im. Janka Krasickiego.*

A dzieci znosiły nauczycielom to, czego ziemia nie przyjęła: różne części żołnierskiego ekwipunku. Walały się na polach wyorywane i przyorywane i to ludziom wydawało się świętokradztwem. Ktoś przechowywał czapkę oficerską, ktoś inny pas, szablę, manierkę, banderę, dokumenty. Izba pamiątek, otwarta w 1966 roku, stała się formą zabezpieczenia ocalałych akcesoriów bitwy przed zniszczeniem. Szkoły nie stać na osobny „kącik" z braku miejsca, gabloty stoją w klasie pod ścianami, na których zawisło także parę obrazów przedstawiających fragmenty walk, wykonanych przez ich uczestników. Patrząc przez szkło na książeczkę wojskową plutonowego Jana Dmitryszyna, z rudymi plamami krwi na papierze, na fotografie Józefa Aleksandrowicza, Walentego Rzestowskiego, poległych od niemieckiej kuli, pamiętałam o klasie VI A gułowskiej szkoły, o młodzieży, która przez rok, podnosząc oczy znad zeszytu czy książki, zatrzymuje je na zgromadzonych przedmiotach — były one czyjąś własnością, ktoś je trzymał w ciepłych rękach, zanim te ręce nie ostygły na zawsze i nie rozsypały się w proch. W tej klasie nie wybucha na przerwach śmiech i zbyt głośny gwar. Te roczniki domyślą sobie lekcję rzetelnej wiedzy o tym, jak się umiera za ojczyznę.

Z listów żołnierzy:

Byłem uczestnikiem tej ostatniej bitwy z Niemcami. We wsi Wola Gułowska jest kościółek i cmentarz. Tam, przy tym cmentarzu, byłem ranny. W bitwie pod Kockiem zginęło sporo polskich żołnierzy. Piszę pamiętnik, mam go przesłać do Warszawy — Franciszek Gajdomski, Ustrzyki Dolne. *Jako uczestnik tych walk — żołnierz 79 pp. pragnę przesłać społeczeństwu Kocka, organizatorom obchodów i kolegom, uczestnikom bitwy, serdeczne koleżeńskie pozdrowienia* — Jan Hajec, Grudziądz. *Ja serdecznie dziękuje za tak piękne inicjatywy uczczenia pamięci mych Towarzyszy, poległych w walce pod Kockiem, całemu społeczeństwu Kocka* — Piotr Ciach, Lublin. *Niemcom nie przebaczyłem, bo i oni nam nie przebaczali, tylko psami szczuli i kijami bili* — Franciszek Bodniewski, Ropele, woj. warszawskie.

Może autorytet naukowy apelujących, ich kompetencje badawcze nie wydały się odpowiednie, może nie dotarli oni do właściwych adresatów, dość że relacje i wspomnienia nie napłynęły. Zdeprymowało to autorów apelu, ale nie przekonało o niesłuszności podjętej próby. Przeciwnie, coraz bardziej utwierdzają się, że ktoś inny mógłby ją ponowić. Wskazuje na to społeczna potrzeba. Cecylia Mierzwińska jeździ po kraju, szpera po różnych archiwach, gromadzi publikacje, czyta wszystko, co się na temat „kockiej batalii"[1] ukazało. Na korytarzu wywiesiła nawet bibliografię zagadnienia — niestety, wciąż jeszcze bardzo skromną. Tej prowincjonalnej nauczycielce śni się książka: Bitwa pod Kockiem — epilog kampanii wrześniowej. I żeby to nie było suche wyszczególnienie pułków, baonów, kompanii, kronikarski zapis starć z wrogiem. Żeby to była pełna prawda o ludziach, o motywach ich postępowania, o ich odwadze i bohaterstwie, ostatniej męce, a także o tych, co ocaleli przetrwawszy obozy i więzienia. Może taka książka już gdzieś w Polsce powstaje na czyimś biurku i młoda kocka „pani" wkrótce będzie mogła z łatwością zaczerpnąć z niej to, co wie, że powinna przekazać młodemu pokoleniu.

— Ja tutaj muszę się tym zajmować — mówi ona. — Muszę znać więcej, niż to jest w podręczniku historii. Tu bezustannie ktoś o to pyta. Bezustannie żądają ode mnie odczytów, pogadanek. Cmentarz nigdy nie jest zarośnięty, ludzie stale tam chodzą. Przyjeżdżają wycieczki, każdy chciałby usłyszeć „coś więcej". Przede wszystkim postać Kleeberga fascynuje. Kiedy telewizja zapowiedziała dokumentalny film „Ostatni generał", w świetlicy mało się nie podusili. Chcą wiedzieć: kim był, jak wyglądał, znać jego biografię. Pytają, ilu żołnierzy brało udział w bitwie, ilu zginęło, co się z resztą stało. I to każdy — od małego do dużego. Kock po wyzwoleniu nie został obsypany łaskami. Ciągle mu się nie udaje. Obiecywany duży zakład przemysłowy nie może powstać od lat. Ale się nie dajemy. Jak pani widzi, ładnie tu jest. Wodociągi, elektryfikacja, remontuje się pałac, zdarto bruk z rynku, żeby położyć płyty. Nawet ta wystawa kwiatów przy głównej ulicy jest po to, żeby się przypodobać. Tylko nasza szkoła stoi na uboczu — brzydka, ciasna, stara. Zatwierdzono w planie budowę nowego gmachu, niestety wciąż się to skreśla, bo brak wykonawców. Ale my tu już wiemy, gdy wzniesiona zostanie nowa szkoła, będziemy się starać o to, żeby nadano jej imię Franciszka Kleeberga...

Znani i bezimienni śpią snem wiecznym w Serokomli, Adamowie, Helenowie, Radoryżu, Okrzei — na małych wiejskich cmentarzykach w zasięgu obszaru bitwy. Towarzyszy im pamięć ludzka. Ale teraz przestają być samotni, bo wraca do nich dowódca. W 30 rocznicę wydarzeń pod Kockiem prochy generała Kleeberga, sprowadzone z Drezna do Polski, spoczną na cmentarzu wojskowym w Kocku. Po latach znajdzie się wśród swoich. Tu, gdzie udowodnił, że być Polakiem, to znaczy walczyć o wolność, rzecz najświętszą, do ostatniej szansy, a gdy i jej zabraknie, to jeszcze nie tracić nadziei. Przecież się nie pomylił — „nie zginęła i nie zginie".

Matylda Wełna

1) H. Mierzwiński, „Mówią wieki", 1969, nr 6.
2) L. Głowacki, „Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie w 1939 roku", Wydawnictwo Lubelskie, 1966.
3) M. Brandys, „O królach i kapuście", PIW, 1959.
4) L. Siemion, „Sztandar Ludu", 1959, nr 234—240.

nad Odrze

Wycieczka za równik

Janusz Koniusz

PŁYNĘLIŚMY przez spokojny, w dzień niebieskawy, w nocy jak smoła Atlantyk. Gęste od żaru powietrze po zapadnięciu słońca przemieniało się w czarną, chłodną maź, w której nie mogłem dojrzeć własnej ręki. Na statku byłem jedynym pasażerem, którego należało wieźć i przywieźć w możliwie najlepszej kondycji. Dbano o zapełnienie mojego żołądka szaszłykami, pieczoną wołowiną, rosołem na kurze, bigosem, naleśnikami oraz innymi przysmakami wytwarzanymi przez kucharza w ilościach przekraczających apetyt czterdziestoosobowej załogi. Za jedzenie zresztą solennie zapłaciłem w kasie armatora i teraz cztery razy dziennie wydzielano mi odpowiednio obfite porcje. Jedzenie należało do moich zasadniczych, właściwie jedynych obowiązków na statku. Jeżeli nie przyszedłem do messy kwadrans po gongu, waleniu łyżką w blaszaną tacę, ktoś z załogi, najczęściej pomocnik kucharza, pukał do kabiny, którą zajmowałem, otwierał drzwi do połowy i zapytywał, czy przypadkiem nie jestem chory. To pytanie zadawał w imieniu kapitana, który w ten najprostszy sposób wyrażał troskę o jedyny, znajdujący się na pokładzie, żywy załadunek. Drzemałem pod przepoconym prześcieradłem, bo cóż innego mogłem robić. Trzy otwarte ładownie nagrzewały się w mocnym słońcu. Na ich dnach leżały brezentowe płachty z plamami cementu, który wyładowano w jednym z portów przed równikiem. Przygotowywano się do załadunku kawy, którą mieliśmy przywieźć do Europy. Pokład polewano wodą. W szczelinach pozostawała sól wymiatana szczotkami z włosia. Życie wyrobiło we mnie nawyk obowiązku, bez którego nie wyobrażam sobie egzystencji jako tako kulturalnego człowieka. Jak bez rąk i nóg, wzroku i słuchu. Starałem się regularnie przychodzić do messy, chociaż po połknięciu poczas chrztu na równiku kanapki z chleba i mydła, straciłem apetyt i mój przysmak: mięso we wszystkich odmianach rozgryzałem jak gotowane drewno. W moich ustach miało smak próchna.

Jedliśmy i rozmawialiśmy. Wszystko wiedzieliśmy już o wszystkich, nikt niczym już nie potrafił nas zaskoczyć. To, co działo się na lądach, docierało do nas w wersji skróconej, przyciszone, bez konturów, jakby pozbawione ciała i krwi. Zamknięci w pływającym podle mieliśmy własne tematy przepłatające się w tych rozmowach: kobiety i sport. Z początku, jeszcze w Zatoce Biskajskiej, zdawało mi się, że kiedyś pozbawione dopływu wyschną jak rzeka. Im płynęliśmy dłużej, tym słowa coraz bardziej obrastały w mięso i tłuszcz, nabierały najróżniejszych znaczeń albo rozbierane z niuansów trafiały w sedno jak w dziesiątkę. Jak muchy z lepu nie odrywały się od biustów, łydek, tyłków i innych zakamarków kobiecego ciała przywiekanych teraz do messy. Kapitan, udający purytanina, swoim wejściem powodował w messie małe zamieszanie objawiające się dyskretnym mlaskaniem. I odtąd aż do jego wyjścia słowa, które zeszły z kobiet krążyły dookoła sportu, na statku przez nikogo nie uprawianego, nie biorąc serio ping-ponga rozgrywanego na górnym pokładzie w pomieszczeniu odgrodzonym gęstą siatką.

Moje rozeznanie w sporcie jest minimalne jak w gwiazdozbiorze Raka, z wyjątkiem lekkiej atletyki. Potrafię wymienić nazwiska kilku skoczków i biegaczy, ale nigdy nie jestem pewien, czy nie mylę ich z oszczepnikami. Ale lekką atletyką na statku nie bardzo się interesowano. Sport utożsamiano z grą w piłkę. Pamiętacie jak, tu poprawnie wymieniano jakieś angielskie albo włoskie nazwisko, zdobył wtedy dwie bramki głową? A tę bombę z voleja? Szkoci już wychodzili ze stadionu zadowoleni z remisu. Panie trzeci kto jutro gra, zapytywano. Trzeci oficer wyjmował z kieszeni spodenek portfelik z delikatnej, krokodylej skórki, w którym obok fotografii nagich kobiet przechowywał pomięty i zżółkły wycinek z gazety drukowanej na papierze najgorszej klasy. Jutro grają, mówił, i odczytywał nazwy rzek, miast i zawodów. To będzie mecz, pomruk szedł przez messę, a to... Pomocnicy kucharza wnosili opiekane kury z frytkami albo ryżem. Przez chwilę rozsmakowywaliśmy się pierwszymi kęsami miękkiego, jakby opuchłego mięsa. Do tego dialogu nie wtrącałem własnych uwag, aby nie narażać się na drwiny, które i tak mnie nie omijały. Wiedziałem, że nazywali mnie panem profesorem, chociaż nie nosiłem okularów i byłem młodszy od wielu z nich. Działejsza piłka to balet, stwierdził kapitan. Jadłem przy stoliku obok i ta sentencja została zaadresowana do mnie. Zareplikowałem: wolę już balet na scenie. Niczego tak nie lubię jak baletu, zaperzył się kapitan, każdy ruch wyćwiczony, przewidziany z góry. A w piłce od początku do końca jedna wielka improwizacja. Improwizacja, powiedziałem, tkwi głęboko w naszym charakterze. Teraz już wszystko rozumiem. Kapitan jakby nieco się obraził. Zdany na jego łaskę, próbowałem zwekslować ten dialog na historię starożytną, moją zawodową specjalność. Wtrąciłem parę informacji o Olimpie, przypomniałem zapasy gladiatorów, bieg spod Maratonu do Aten, laury z wawrzynu, którymi przyozdabiano głowy zwycięzców. Mówiłem głośno, nie tylko do kapitana. Sądziłem, że to może wszystkich zainteresować. Jako jedyny na statku pasażer posiadałem niepisany przywilej: słuchano mnie z grzeczności, której długo nie udaje się ukryć. Wypłynie na wierzch jak wlana do wody oliwa. Po drugim daniu, na deser, piliśmy cierpkie wino, żeby przyspieszyć trawienie. Mój organizm pozbawiony ruchu i fizycznego wysiłku funkcjonował nie najlepiej. Tęskniłem za długimi spacerami po mieście, które z każdym obrotem śruby oddalało się coraz bardziej na północ. Zimne, cierpkie wino wypijałem duszkiem jak rycynę. Trwało to jednak wystarczająco długo, aby oni zostawiając Olimp i Maraton mogli zająć się dylematem: czy lepsze jest ustawienie cztery, trzy, trzy czy też cztery, dwa, cztery. Stanowiska były podzielone. Nie wiedząc, o co chodzi nikomu nie przyznawałem racji. Piłka nożna to sport dwudziestego wieku, pouczał mnie kapitan. Stwierdzenie wydało mi się zbyt patetyczne i dlatego skrzywiłem się bezgłośnie. Musi się pan zacząć nią interesować, atakował kapitan. Wciągnie jak historia starożytna. Jak pradzieje Afryki. Nie wyobrażam sobie tego świata bez piłki. Wstałem i bez słowa, z pogardą w ruchach i twarzy poszedłem do kabiny. W podświadomości podziwiałem tych czterdziestu mężczyzn za ich niedostępną dla mnie wiedzę o dryblingach, volejach, solowych rajdach, strzałach z półobrotu, kornerach, autach. Rozsądek podpowiadał mi, że to wiedza praktycznie niepotrzebna, a emocja wytwarzana sztucznie żeby wypełnić czymś monotonne jak tykanie zegara życie na statku odbywającym dalekomorski rejs. Rozciągałem się na łóżku i brałem do ręki książkę, aby odświeżyć w pamięci jakiś szczegół ze starożytności. Sprawiało mi to szczerą satysfakcję. Czułem, że czas nie mija bezpowrotnie.

Po tygodniu stanęliśmy na kotwicy w zatoczce odsłoniętej od Atlantyku wąskim i płaskim zakolem. Rosły tam smukłe palmy, pomiędzy którymi pełzła jak wąż droga. Nad ciżbą domów i wieżowców stał ford, przypominał zamek z piasku zbudowany na plaży przez dzieci. Przez całą noc kutry powracały z połowów. Przez lornetkę przyglądałem się pracy czarnych rybaków. Ładowali ryby do koszy. Łowienie i polowanie, te najstarsze zajęcia człowieka, będą zawsze atrakcyjne. Cywilizacja z pracy wyrugowała przygodę i tajemniczość, pozostawiła jakby samą czynność z góry przewidującą jej efekt. W łowieniu i polowaniu pozostała szczypta przygody i spora niewiadoma. Rano, zaraz po otrzymaniu przepustki, poszedłem do miasta, aby doręczyć adresatom list, który wiozłem ze sobą. Oni mieli mi pomóc w wycieczce do dżungli. Jako specjalista od historii starożytnej chciałem przenieść się o kilkaset lat wstecz, do wnętrza plemion, które półkolem otaczały to miasto rozbudowane na niewysokich pagórkach z konieczności wrzynające się pomiędzy palmowe drzewa. Z synem adresatów listu, młodym porucznikiem portugalskiej armady umówiłem się na peryferiach w prywatnej knajpce prowadzonej przez staruszków Rosjan osiadłych tutaj po największej z rewolucji. Miałem nadzieję, że przed wyjazdem w dżungle uda mi się z nimi porozmawiać. Nosili na plecach pół wieku pasjonującej historii jakby jedną warstwę archeologiczną. Długi wąski pokój, prześmierdły topionym masłem, przedzielono brązową kotarą z grubego, czerwonego materiału. Za kotarą ziemię stężonym ciepłem. Były to absolutne peryferie za otwartym oknem rozciągał się wypieczony w słońcu, brązowy plac, z rozrzuconymi kępkami rachitycznego ziela. Murzyni grali na nim w piłkę wykopując spod stóp pęcherze kurzu, który nigdy nie osiadał. Nieruchome powietrze gęstniało w upale, można je było kroić nożem. Po chwili zauważyłem, że spośród tej gromady obdartych, półnagich chłopców, szybkością i siłą wyróżnia się jeden, na którego wołają Kusebio. Słowo to nie było mi obce, musiałem je już kiedyś słyszeć w messie. Niebrzydka Mulatka podała nam chłodną zupę i powiedziała, że chorzy państwo nikogo nie przyjmują. Leżą na matach piętro wyżej. Zaraz też przed knajpkę zajechał odkryty wojskowy samochód z dwoma uzbrojonymi żołnierzami. Smażoną baraninę jedliśmy już prawie na stojąco parząc sobie wargi.

Po kilkudziesięciu minutach skończyła się asfaltowa droga i wjechaliśmy pomiędzy chatki z gliny, desek i bambusowej trzciny, odgrodzone od brudnej, piaszczystej drogi wyszczerbionymi płotami. Na podwórkach kobiety paliły drewno pod okopconymi garnkami i gotowały obiad. Nagie dzieci jak kury grzebały w ziemi. W niewielkich stolarniach wystrugiwano stoły, szafy i trumny. Nad tym wszystkim unosił się gęsty i lepki smród zgnilizny, ludzkiego i zwierzęcego kału i moczu oraz gęsta jak wnętrze kołdry warstwa kurzu. Nie rozmawialiśmy, paliliśmy papierosy. Zawsią wjechaliśmy w dżunglę i zaraz zrobiło się chłodniej i przyjemniej. Jechaliśmy jeszcze kilka kilometrów. Prowadzący samochód żołnierz raz zwalniał, raz przyspieszał jak by badał twardość ziemi pod kołami. Stanęliśmy na szerokiej ścieżce zjeżdżonej przez samochody. Żołnierz natychmiast zgasił motor i odkręcił regulator radioodbiornika zainstalowanego obok kierownicy, z którego zaczęły się wysypywać podniecone słowa. Odszedłem od samochodu na jakieś sto metrów. Po obu stronach ścieżki rosły gęsto niewysokie palmy za-

Dokończenie na str. 10

Uderzenia zegara

Dokończenie ze str. 1

nych żołnierzy polskich i radzieckich. W szpitalu zatrzymano niemieckich lekarzy. Ordynatorem została zabłąkana tu studentka po trzecim roku medycyny. Sytuacja wywyższała wówczas ludzi do zadań przekraczających ich kompetencje. Niektórzy pozostali na stanowiskach do dziś, pierwsi dyrektorzy z awansu, inni odeszli po latach spontanicznego ryzykanctwa zagrawszy życiową rolę. Samo miasto natomiast miało jeszcze długo czekać na swój wielki kwadrans, szabrowane przez rozbestwione wojną hieny, rozbierane na cegłę, wstrząsane przez wiele lat wybuchami min pod nogami dzieci, wpisane w cztery sklepiki i wtorkowy harmider jedynej restauracji „Pod Batem", gdzie gospodarze z całego powiatu przy okazji jarmarku snuli refleksje na okoliczność obowiązkowych dostaw, posilając się rozwiniętymi z gazety jajami na twardo. Drobnourzędniczy Głogów żył z chłopów. Wtedy jeszcze nie było wiadomo, że ta ziemia ma inne talenty, wyżej płatne niż gleba pszenno-buraczana. Gdyby Głogów zaczął się budować, kto by został na wsi? W myśl tej nieskomplikowanej koncepcji Głogów się nie budował. Położony na krawędzi dwu województw, wrocławskiego i poznańskiego, przypisany wreszcie do nowej, anemicznej zrazu administracji zielonogórskiej, cierpiał na dolegliwości marginesu. Tymczasem rada miejska zajmowała się, z braku perspektyw, niesubordynacją kominiarzy. Jak wykazała pewna kontrola, trudnili się oni jedynie pobieraniem opłat, zamiast remontować i czyścić kominy.

Zaś lokalni patrioci, którzy własnymi rękami odgrzebywali miasto z rumowiska, produkowali na użytek społeczny lokalne fetysze i sentymenty. Lekarz medycyny, co nie wiadomo dlaczego został po stażu, choć proponowano mu miejsce w klinice, architekt powiatowy noszący pod powiekami głogowskie szklane domy. Była to niezgoda na rzeczywistość, uskrzydlona marzeniami. Urzędnik Adam Królak pisał kronikę głogowską, obficie krasząc fakty legendą i urządzał rewie słowno-muzyczne razem z Józefem Nowakiem, dzisiaj znanym aktorem. Kronikę odbito na powielaczu i przesłano gratis zagranicznym uniwersytetom. Na 1 maja 1959 roku Królak wypisał na płotach i parkanach słowo „pokój" w czterdziestu językach.

Ale w 1959 objawiła się już miedź. Przybysze, ludzie miedzi, mieli do zaproponowania metody propagandowe bardziej skuteczne, a w ręku murowane atuty. „Miedź w stanie czystym służy do wyrobów elektrolitycznych, w połączeniu na przykład z cynkiem powstaje mosiądz, stosowany w przemyśle okrętowym, zbrojeniowym itp. Najliczniejsze są jednak stopy zwane brązami. Nadają się do obróbki technicznej. Związki miedzi poszukiwane są również przez przemysł chemiczny do produkcji barwników, leków, do barwienia szkła. Znalezienie miedzi postawiło Polskę pod względem zasobów miedzi na szóstym miejscu w świecie". Tubylcy rozczytawszy się w prasie, która żyła tematem, zrozumieli, że zostanie przeorany dotychczasowy system wartości i bali się, by w rozgardiaszu, co teraz nastąpi, tamto nie przestało się liczyć. A każdy oddzielnie drżał o własne miejsce na szachownicy, rewolucje dokonują przecież radykalnych przesunięć. Emocjom miedziowym towarzyszyło więc od początku społeczne napięcie, rozczepiające się w konflikty.

* * *

Ramiona dźwigów kroją przestrzeń ruchem pionowym. Dół, góra, parter, piętro, drugie piętro, trzecie. Żelazna klatka unosi anioła w drelichowym kombinezonie. Merda czerwony szalik, uwiązany jak obroża. Bezczelnie spada plwocina pod nogi przechodnia.

— Panie dźwigowy — uprzejmie wrzeszczy mężczyzna — co pan robisz?

— Dźwigam w górę to zapyziałe miasto.

Dialog trzaska jak piłka pingpongowa. Kibice rozwijają temat savoir-vivre'u w socjologiczne ujęcia:

— To jest horda tatarska, dzicy ludzie.

— Teraz dopiero zacznie się Meksyk.

— Już się zaczął, mewki przyleciały.

— Walutę czują, tu, bracie, będzie forsa.

W roku 1957 rząd wydał decyzję o budowie kopalń w Lubinie i Polkowicach, oraz hut w Legnicy i okolicy Głogowa. Złoża miedzi postępują w kierunku na Głogów. Coraz głębsze, trudniejsze do wydobycia, ale i bardziej soczyste, bogate. Ceny wahają się zależnie od koniuktury. Koniuktura na miedź jest dobra.

Polkowice były zielonogórskie. Marna gleba. Psuły powiatowi głogowskiemu wydajność z hektara. Zielona Góra odstąpiła swoje rubieże województwu wrocławskiemu bez żalu. Potem błahy skrawek ziemi stał się jabłkiem Parysa. Polska jest podzielona na województwa. Wojewodom dane jest zaznać prócz potęgi władzy, poczucie niemożności. Miedź przybliża władzy szanse spełnienia. To co przez rok wyciągną górnicy z szybów Lubina i Polkowic, ma wartość produkcji wszystkich polskich kopalń węgla. Miedź to kariera. Powstaną nowe kopalnie. Później, gdy już ruszy huta w podgłogowskich Żukowicach, budowana za ciężkie cztery miliardy. Po trzech latach huta zwróci dług państwu. Sprawa jest pilna, zagłębie nie może ani na chwilę zgubić rytmu. Ruda płynie do Legnicy. Wkrótce wytryśnie z nowych szybów. Tę obfitość zgarnie huta żukowicka, nowoczesna i precyzyjna. W roku 1971, w roku startu, 40 tysięcy ton wytopu, docelowo 80.

Organizm głogowski drgnął. Zaczął falować pejzaż. Z dźwigowym aniołem i babiną, wypchniętą z kolejki po żytnie bułki, specialite de la Głogów, dedykującą odpowiednie powinszowania Polsce Ludowej. Ze szkołami pękającymi w szwach z demograficznego urodzaju, sprawdzonej właściwości okresów z podwyższoną temperaturą. Z walizkami domów ustawionych w środmieściu ślepą ścianą do południa. Widać budowano je w pośpiechu, który pomieszał strony świata. Ze szkieletami zabytkowych ruin Starego Miasta, czekających konserwatorskiego starania. Z ruchliwym dziesięciotysięcznym osiedlem nowego centrum. Oddano je w jasyr górnikom dojeżdżającym do Lubina nie zawsze sprawnymi pekaesami. I ludziom z budowy. Jak się budowa skończy, zostaną przy hucie. Na osiedlu luksus. Rozumie się: w perspektywie. Daneing w restauracji, kawa super i rurki z kremem. Oczywiście kiosk z piwem, żeby tylko nie za dużo. Fryzjer z manicurem i farbowaniem włosów. Motozbyt i, czemu nie? — garaże. Kiełbasa na hakach we wszelkim gatunku. Chleb bez zakalca, z nowej piekarni PSS-u, co to się od pięciu lat nie może wybudować. Wszystko, czego dusza zapragnie do wygodnej stabilizacji, gdy się ma za co kupić. Jeśli miasto nadąży. Miasto zwija się jak w ukropie, przypierane do muru wymaganiami tych z budowy. I musi nadążyć.

Lecz najważniejsze w pejzażu jest to pole, zbrojne już w stalowe maszty wysokiego napięcia, a jeszcze rodzące zboże. I oparta o Odrę wielka biała przestrzeń, odjęta rolniczej wsi. Od chłopskich zagród dzieli ją wątła siatka. W ziemi biegną unerwienia wodociągów i kable telefonów. Przed rokiem na powierzchni mało było co widać. Ziemia rozkopana na kilkudziesięciu hektarach, baraki i wozy Drzymały, robotnicy grzali ręce przy koksownikach. Dziś na wielkim placu inżynierowie, kierownicy budów, pokazują przyjezdnym fundamenty najważniejszych obiektów procesu technologicznego uzyskiwania miedzi. Po zawieszonej między niebem a ziemią na słowo honoru drewnianej drabinie można wdrapać się na dach wydziału elektrolizy. Obiekt wyszedł już z niemowlęcego okresu rusztowań i przęseł i fotogenicznie góruje nad otoczeniem. Stąd odkrywa się rozległy widok na przyszłą hutę. Budowa, ogólnie biorąc jest na etapie stalowych słupów, na których oprą się konstrukcje. Dziesięć wielkich budów, dziesięć centralnych punktów huty prowadzi codzienny wyścig z czasem. Elektroliza, ostatnie stadium chemicznego procesu produkcji miedzi, jest poza konkurencją. Ona musi być przed wszystkimi. Zgodnie z zobowiązaniem. Zobowiązanie było w sprawie przyspieszenia terminu o trzy miesiące. To wypada na prima aprilis 1971. ludzie dowcipkują, ale wiedzą, że nie ma żartów. Kopalnie w Polkowicach i Lubinie produkują więcej niż przewidział plan, legnicka huta nie nadąży z przeróbką — nadzieja w Żukowicach. Te trzy miesiące przelicza się na dziesięć milionów dolarów zysków albo strat, droga jest jedna. Pod nami robotnicy z brygady Malinowskiego wykonują sto pięćdziesiąt procent normy, montuje się wsparte na żelbetowych słupach kadzie do elektrorafinacji. W dali widać rozchodzące się we wszystkich kierunkach kanały do przewozu rudy. Koparki walczą z piachem, kolosa o pojemności 1,25 m sześć. ledwo nadąży obsługiwać pięć „Żiłów". Inwestor wciąż śrubuje tempo. Zielonogórskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, generalny wykonawca, z trudem może się połapać w ogromie przedsięwzięcia. Tu i ówdzie przegaduje się, że pchnięto je na głęboką wodę, nie sprawdziwszy, jak umie pływać. Tak mówią starzy wyjadacze od wielkich budów. Wrocław droczył się, pomóc czy nie pomóc, sam wicepremier musiał skarcić tendencje do izolacji: wojewódzkie interesy muszą ustąpić w interesie kraju, jak będzie trzeba, na budowę rzuci się przedsiębiorstwa z wrocławskiego. Tymczasem pływak złapał jakoś oddech i zaczął rytmicznie poruszać nogami.

Boję się spojrzeć w dół, w sam środek chaosu. Chaos ma podobno wewnętrzny ład i logikę według projektu Biprometu i kilkunastu innych biur projektowych, w tym dwu radzieckich. Technologia jest złożona. Droga miedzi na rynki zagraniczne zaczyna się w magazynie uśredniania wsadu. Oznacza to wzbogacenie rudy. Magazyn dopiero wyrasta z fundamentów, robotnicy montują żuraw do betonowania słupów, kanałów wewnętrznego transportu i tunelu technologicznego. Bardzo to wszystko trudne dla zwykłego śmiertelnika. Szukam wśród żelbetonowej monotonii punktu oparcia dla humanistycznej wyobraźni. Oczom ukazuje się nieoczekiwanie sylweta konia trojańskiego, wypisz wymaluj przeniesiona żywcem z szerokoekranowego westernu o porwaniu pięknej Heleny. Z bliska zagadkowy kształt okazuje się po prostu fundamentem pod piec szybowy na wydziale metalurgii. Szukam ludzi. Tysiąc dwustu robotników pracuje prawie niezauważalnie, wtopionych w studnie wykopów. Robią, co do nich należy, monotonnie, bez euforii, podczas przerwy wyciągają z kieszeni zapakowany przez żony chleb z kiełbasą i żują bez pośpiechu. Przed piętnastą tutejsi z Żukowic i z okolicznych wiosek myślą — dziś krowa się cieli, czas kosić — i zaczynają podganiać robotę. To jeszcze nie jest autentyczna załoga, ot, zbieranina z całego świata, z której załoga się dopiero narodzi. Przyjeżdżają z ogłoszenia. Ciągną z lubelskiego, z Warszawy, ze Śląska, niebieskie ptaki, szukające lekkiego chleba i fachowcy z budowli wielkiego przemysłu, tacy po Koninie, Turoszowie i Płocku, albo włóczęgi, którym weszła w krew przygoda, i wsiowi, najrzetelniejsi, ale z głową nabitą żniwami. Ta budowa ich wszystkich przerasta a przecież w niej zostawią swój ślad po sobie. I po czasie gorączki, w którym żyli, choć na co dzień tyle energii zbiera im wykłócanie się o lepsze jedzenie w stołówce, o odzież ochronną, o miejsce przed telewizorem w hotelowej świetlicy. Klną, nie filozofują, sens sprawy jest ten sam co przed dwudziestu laty w podkrakowskiej wsi Mogiła, ale huta już nie pierwsza, wymagania większe i inna oprawa.

Sekretarz powiatowego komitetu twarz ma ściągniętą frasobliwie: to miasto wygrało los na loterii, należał mu się, ale czy sprosta marzeniu, które je uskrzydla? Dziś ma szesnaście tysięcy ludzi i pęka w szwach, w osiemdziesiątym piątym będzie miało trzy razy tyle. Spór o budownictwo jest prawie symboliczny, pięć czy dziesięć pięter? Głogów do wysokiego budownictwa nie jest przyzwyczajony, w powiecie nie ufa się windom. Ale windy będą sprawne.

Ten kolos niesie różne komplikacje. Dają miastu trzysta milionów — na kolej, hotel, restauracje, gaz, mieszkania — to fakt, ale wymagania, ho, ho, co najmniej za miliard. Szkoły już dziś nie mieszczą dzieci, technikum hutnicze potrzebne od zaraz dla kobiet, co za swymi chłopami ciągną, musi być lżejsza robota. Głogów nie zawsze wie, co z tym fantem zrobić. Jeden inżynier, wyga od socjalistycznych budów, wyraża się, że to miasto kojarzy się z prowincjonalną artystką, która dostała propozycję do Hollywoodu.

Gorący jest wiatr od huty. W tej części geograficznej świata zmienił się naraz klimat. Zrobiło się nerwowo. Głogowskie Towarzystwo Kultury urządza sesje naukowe: w marcu sympozjum nad rozwojem przestrzennym Głogowa, w maju zjazd towarzystw regionalnych z ośrodków uprzemysłowionych w sprawie kultury robotniczej. Kultura zniżyła się do naruszonej zębatymi kołami ziemi. We wrześniu nowa sesja: wpływ wielkiego przemysłu na ośrodki miejskie do tej pory zaniedbane. Będzie to rzecz o wietrze socjalistycznego budownictwa. Ten podmuch porusza stojącą wodę, puszcza w ruch przetrącone skrzydła zabytkowych wiatraków. Wieje w przód, do tyłu, w przyszłość, i w przeszłość.

Przodem idą spychacze. A przed spychaczem człowiek z łopatką i rysownicą, powiatowy archeolog. Na budowie prace ratownicze. Jedenaście archeologicznych stanowisk. Byle tylko zdążyć — zanim spychacze zburzą ład nakładających się na siebie wiekami warstw ziemi. Ustawę o finansowaniu badań archeologicznych przez nowe budowle przemysłu mamy najbardziej postępową w świecie. Teren huty trzeba zbadać piędź po piędzi. Ta ziemia kryła podwójne bogactwo. Miedź, której Niemcy szukali i nie znaleźli, i prehistorię słowiańską, którą znaleźli, lecz skrzętnie zakryli. My odsłaniamy obydwa bogactwa.

Między V a IX wiekiem n.e. rozwijało się w tej osadzie hutnictwo czarne. To był najsłabiej znany okres w polskiej nauce. Znaleźliśmy argumenty na pseudonaukowe hipotezy Niemców. Istniała ciągłość osadnicza plemion słowiańskich. W dymarkach i piecowiskach dawnej huty zachowały się resztki źle wypalonej rudy żelaza. Udało się uratować na wpół zrujnowany piec z tamtych czasów, znak dawnego ognia.

Robotnik w waciaku i maszyna-gigant dźwigają w górę hutę elektrolitycznej miedzi. Spieszą się, pędzi ich rytm epoki. Robotnik dziwi się archeologowi, po co to grzebać się w czymś, czego już nie ma. Archeolog tłumaczy wszystkim po kolei: odsłaniam wkopany w ziemię stary fundament. Niech będzie wiadomo, że przed nami ktoś się tutaj trudził. Ktoś z naszego plemienia. Huta staje na hucie. Trzeba tylko dołożyć cegłę do cegły. Sztafeta. Kolejne uderzenie zegara.

Henryka Doboszowa

Kamena str. 8

PSEUDO: »SERCE«

Konrad Bielski

Treść dwóch poprzednich odcinków: Jest wrzesień 1986 r. Autor wspomnień, znany lubelski adwokat, podejmuje się bronić przed sądem w Radomiu niejakiego Tadeusza G., oskarżonego o współpracę z okupantem. W toku wielu rozmów przekonuje się, że opinia o Tadeuszu G. nie jest w mieście jednolita. Obok zdecydowanych przeciwników ma on i grupę gorących zwolenników, b. partyzantów. W więzieniu dochodzi do spotkania obrońcy z oskarżonym. Tadeusz G. opowiada o pewnym dniu czerwcowym 1940 r., kiedy to przypadkowo Niemcy wzięli go z ulicy i zmusili, by towarzyszył im w charakterze tłumacza. Hitlerowcy dokonywali licznych aresztowań. Obecność Tadeusza G. w ich gronie nasuwała przypuszczenie, że to właśnie on wydaje ludzi. Opinia publiczna sądziła, że jest on konfidentem gestapo. Tymczasem podczas jednej z łapanek Tadeusz zostaje aresztowany i ostatecznie skazany na rok więzienia. Po wyjściu na wolność stara się o wstąpienie do partyzantki. Warunkiem jest zdobycie przez niego broni.

TERAZ Tadeusz G. znalazł się znowu w sytuacji wyjątkowo trudnej. W obliczu zadania, które sam na razie uważał za niewykonalne. A przecież musiał to zrobić, bo czuł, że jeśli nie dostanie się do partyzantki i nie wyrwie z tego zaklętego radomskiego kręgu, to zginie.

Ale jak, ale jak? Słyszał, że podobno niektórzy Niemcy sprzedawali broń, szczególnie krótką, mówiono mu, że w Warszawie na Kercelaku takie transakcje są dość częste, ale to wszystko mgławica; trzeba dużo pieniędzy, których on nie ma. O tym, żeby udało się ukraść broń od żołnierzy lub granatowych policjantów — szkoda nawet marzyć. Pozostawało tylko jedno: zabić i zdobyć.

Po powzięciu tej trudnej decyzji zaczął ustawicznie przemyśliwać nad sposobem jej wykonania. I tu mu pomógł przypadek i szczęśliwy zbieg okoliczności.

Włócząc się w okolicach Radomia w celach handlowych, gdyż chciał najpierw matkę zaopatrzyć w trochę gotówki, zanocował pewnego dnia w małej gajówce w pobliżu większego osiedla.

W czasie dłuższej wieczornej rozmowy, przy szklaneczce bimbru, gajowy powiedział mu, że na skraju lasu stoją samotne baraki, które służą Niemcom jako magazyny. Niezbyt ważna musi być ich zawartość, gdyż żandarmi przed tygodniem je opuścili i obecnie pilnuje ich zaledwie kilku własowców i rzadko kto dojeżdża do tej na wpół zapomnianej stanicy.

Pod byle pretekstem przedłużył pobyt u gajowego, który zresztą chętnie się na to zgodził. Mieszkał samotnie w prymitywnych warunkach, rodzina przebywała w dość odległym mieście, więc gościna młodego człowieka nie była uciążliwa, tym bardziej, że wymagania miał niewielkie, a ze sobą spory zapas bimbru. Tadeusz już od rana rozpoczął obserwacje, starając się sam być niewidoczny. Wyniki okazały się nader pomyślne i uprawdopodobniające realizację jego zamiarów.

Baraków było trzy. Jeden na samym skraju lasu, a dwa nieco dalej, o jakieś dwieście kroków. Tam właśnie stacjonowała załoga, składająca się z trzech ludzi. Uzbrojeni byli w karabiny. (G. marzył o pistolecie maszynowym). Widocznie hitlerowcy nie przywiązywali zbytniej wagi do tego miejsca i zawartości budynków, no i bezpieczeństwa załogi, oddalonej kilka kilometrów od miasta, wśród lasów narażonej na duże niebezpieczeństwo. Była to okoliczność bardzo sprzyjająca. Nocą dwaj członkowie załogi pozostawali w barakach i zapewne spali, a trzeci stał na warcie przy bramie, która zawsze była otwarta, i co pewien czas obchodził budynki, łącznie z tym oddalonym pod lasem. Dwa baraki były oświetlone żarówkami wkręconymi pod dachem: słabe lampki rzucały tylko mały krąg poświaty. Trzeci budynek był nie oświetlony. Czy to żarówka się zepsuła, czy też wcale jej nie było. Gdy wartownik nocą obchodził ten budynek, tonął w absolutnej ciemności. Tam właśnie, w pobliskiej kępie krzewów, G. umyślił urządzić zasadzkę i to już najbliższej nocy.

Skoro tylko zmierzch zapadł, a noc na jego szczęście była dżdżysta i ciemna, uzbroił się w fiński nóż, potężną dębową antypę, zaszył się w krzakach i czekał.

Wszystko zaczęło się dziać według przewidzianego porządku. Samotny wartownik już dwukrotnie mijał kryjówkę Tadeusza, lecz on nie mógł się zdobyć na atak. Przez te kilka minut tysiące sposobów przychodziło mu do głowy, ale na żaden nie mógł się zdecydować. Niełatwo jest zabić człowieka, nawet wroga, tym bardziej, gdy się wobec tej konieczności stanęło pierwszy raz w życiu. W końcu ogarnęło go przerażenie, że przejdzie cała noc, a on nie zdobędzie się na ten niezbędny wysiłek i że taka okazja nigdy się już nie powtórzy.

Toteż gdy znowu mijał go wartownik, wyjątkowo blisko zarośli, wyskoczył z ukrycia i z całej siły rąbnął go w tył głowy grubą lachą. Żołnierz nie miał hełmu, tylko furażerkę, więc po otrzymaniu tak potwornego ciosu zwalił się na ziemię bez słowa, wypuszczając karabin z ręki. Napastnik momentalnie znalazł się przy nim.

Zabity czy tylko ogłuszony? Niebezpiecznie było go zostawić żywym. W pierwszej chwili pomyślał o nożu, lecz zaraz myśl tę odrzucił. Nóż to krew, plamy, ślady. Z tych samych względów nie chciał po raz drugi używać pałki. A więc chwycił za gardło leżącego człowieka i póty trzymał mocno w uścisku, aż mu ręka omdlała. Następnie odciągnął zwłoki i rzucił w chaszcze, odpiąwszy uprzednio pas z amunicją. Przerzucił karabin przez ramię i szerokim łukiem omijając budynki, wrócił do gajówki.

Gdy pokazał się z karabinem na plecach, gajowy zaniemówił z przerażenia. G. nie zwlekając oznajmił mu, że jeden z wartowników został zabity, trzeba więc dla własnego bezpieczeństwa czym prędzej uciekać. Musi siebie i jego przeprowadzić bezpiecznymi drogami do odległej o dziesięć kilometrów wsi. Tam on ma schronienie, tam i jego ukryje. Gajowy bez słowa zamknął mieszkanie na kłódkę, nie zabierał nic z domu i niezwłocznie obaj ruszyli w drogę. Za piętnaście minut pogrążyli się w ciemnościach lasu. Gajowy znał dobrze bezpieczne drogi, toteż jeszcze przed świtem dotarli do wsi.

W umówionym miejscu i o oznaczonym czasie G. stawił się z karabinem i nabojami do dyspozycji leśnych ludzi. Został przyjęty do oddziału AL pod dowództwem „Ryszarda" i otrzymał pseudonim konspiracyjny „Serce". Pseudonim mu się nie podobał, wolałby inny, bardziej bojowy i lepiej brzmiący. Lecz tam nie było miejsca na dyskusje i sprzeciwy. Działo się to w pierwszych dniach maja 1944 roku. Podkreślam ten fakt, gdyż będzie on miał później decydujące znaczenie.

W jaki sposób zdobył karabin, nikt go nie pytał, a i on się nie chwalił. W ogóle na ten temat nigdy z nikim nie rozmawiał. Dopiero teraz ze swym obrońcą...

* * *

Dowódca oddziału wiedział, oczywiście, o Tadeuszu wszystko. Toteż, mimo że wywiad o nim wypadł korzystnie i zwierzchnictwo przyjęło go do swych szeregów bez zastrzeżeń, z nadmiernej ostrożności postanowił go jeszcze wypróbować. Zlecił mu więc na początek dwa zadania specjalnie trudne i niebezpieczne. Polegały ona na wykonaniu dwu wyroków śmierci. Pierwszy — na podoficerze żandarmerii, który stacjonując w Ostrowcu, dokonywał niespodziewanych wypadów do odległych nawet wsi i tam dopuszczał się najohydniejszych zbrodni w stosunku do ludności cywilnej. Był to zwyrodnialec, sadysta, ale niesłychanie odważny. Działał w asyście niewielkiej eskorty, a nawet czasem sam. Wszelkie zamachy, dokonywane na niego dotychczas, nie udawały się. Poranił ludzi, a sam wyszedł cało — to mu dodawało pewności siebie i był coraz bezczelniejszy. Drugi wyrok miał wykonać na szpiclu i konfidencie, podobno volksdeutschu.

O ile dotychczas złośliwy pech prześladował bez przerwy Tadeusza G., to obecnie musiał stwierdzić, że jego zła karta odwróciła się i to od momentu, gdy zdobył karabin. Utwierdził się w tym definitywnie po stosunkowo łatwym i brawurowym wykonaniu obu zadań.

Żandarm był już rozpoznany i wszelkie, nawet najdrobniejsze, szczegóły o nim nie były Tadeuszowi obce. Do pomocy dostał tylko dwóch partyzantów na ubezpieczenie. Pierwsza zasadzka się nie udała. Żandarm pojechał inną drogą i w większej niż zazwyczaj asyście. Drugi raz zaczaili się na niego w odległości około dziesięciu kilometrów od miasta, w okolicy obfitującej w małe, ale gęste laski i sporą liczbę rozrzuconych gospodarstw. Czas był letni, pora przedwieczorna. Żandarm wracał do miasta motorem. Razem z nim jechało jeszcze trzech motocyklistów, wszyscy uzbrojeni po zęby. Jak się już później wyjaśniło, jeden z motocykli się zepsuł. Wtedy wszyscy się zatrzymali i razem zaczęli majstrować przy maszynie. Trwało to dosyć długo. Wtedy zniecierpliwiony zwłoką dowódca ekipy, wiedząc, że jest już blisko miasta, a okolica ludna, i wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę, dosiadł motoru i pomknął sam do domu.

G. czatował w rowie tuż przy szosie, zakryty krzakiem głogu. Najpierw usłyszał huk pojedynczej maszyny, a potem ze zdumieniem zobaczył tak dobrze znaną postać znienawidzonego żandarma, jak samotny pruł motocyklem z ogromną szybkością środkiem drogi.

Reszta była dziełem kilku sekund. Przepuścił go obok siebie, wyskoczył z rowu i oddał kilka serii z pepeszy. Człowiek i maszyna zwalili się na ziemię i potoczyli się po pochyłości nasypu. Zanim koledzy Niemca przybyli, zaalarmowani strzałami, sprawcy zdążyli już się ulotnić. W przydrożnym rowie leżała zdruzgotana maszyna i zmasakrowany hitlerowiec.

W pustej leśniczówce pozostał sam G., cudownie ocalony, lecz pełen troski o swoich kolegów. Niestety, żaden z nich nie wrócił już nigdy ani do oddziału, ani do domu.

Na razie nikt się tym specjalnie nie zajmował. Zwierzchnictwo przyjęło bez zastrzeżeń meldunek G., a dalsze wypadki potoczyły się swoim torem. Nikt wtedy nie interesował się tym, jak Niemcy trafili do leśniczówki, dlaczego nie robili rewizji i dlaczego z trzech obecnych, których tam zastali, tylko jednego pozostawili na wolności, a tamtych zatrzymali.

* * *

Jesienią roku 1944, gdzieś około października lub może jeszcze później, powzięto decyzję, aby duży oddział partyzantów przerzucić na drugi brzeg Wisły do wyzwolonej części Polski. G. nie wiedział i nawet nie potrafił później ustalić, kto wydał ten rozkaz i jaki cel miało przerzucenie na drugi brzeg tak licznego ugrupowania ludzi. Przecież musiało to być połączone z przerwaniem linii frontu i przeprawą przez rzekę, która wprawdzie w wielu miejscach była płytka, pełna mielizn i szeroko rozlana, ale w każdym razie stanowiła poważną przeszkodę. Nie było również wiadomo, jacy ludzie i z jakich jednostek mieli ulec tak poważnemu zgrupowaniu, gdyż mówiono o tysiącu żołnierzy, a w partyzantce była to już liczba pokaźna.

Tadeuszowi G. wraz z jego grupą rozkazano przeprowadzić dokładne rozpoznanie terenu oraz zaproponować kilka punktów, z których jeden wybrałoby dowództwo jako najkorzystniejszy dla przeprowadzenia tej poważnej akcji. Polecono mu wziąć pod uwagę brzeg Wisły mniej więcej między Annopolem a Zawichostem. Był to potężny szmat ziemi, obstawiony przez Niemców, wyludniony, gdyż ludność w pasie przyfrontowym ewakuowano, a środki do wykonania zadania dano niewielkie i termin bardzo krótki. Zameldować miał się w sztabie za dziesięć dni.

Zdawał sobie dokładnie sprawę, jaka ciąży na nim odpowiedzialność, gdyż od rzetelnego wykonania i przejrzystości meldunku zależało życie wielu ludzi. Wprawdzie poinformowano go, że również inne grupy wywiadowcze będą działać niezależnie od niego w tym samym celu na tymże terenie, ale to była słaba pociecha.

Nie będę opisywał szczegółowo, bo to dla całości sprawy jest bez znaczenia — tych pracowitych dziesięciu dni i nocy, które spędził G. ze swym małym oddziałkiem, badając słabizny niemieckich linii frontowych i możliwości najbezpieczniejszej przeprawy przez rzekę. Nie jadł, nie spał, narażał się ustawicznie na śmiertelne niebezpieczeństwo i w miarę swych możliwości i zdolności sporządził meldunek dokładny, zawierający wiele szkiców terenu, cyfr i nazw miejscowości. Z tym zameldował się w sztabie.

Za kilka dni przeprawa była postanowiona, chodziło o wykorzystanie dżdżystej pogody i wyjątkowo ciemnych nocy. Szczegóły akcji były otoczone ścisłą tajemnicą, lecz mimo to przedostały się na zewnątrz: że przeprawia się około dziewięćset ludzi, że wymaszerują w kilku grupach i połączą się już w lasach nadwiślańskich. Stamtąd ma nastąpić uderzenie, przerywające front. Na drugim brzegu nasi ludzie byli już o wszystkim powiadomieni, przygotowani do przyjęcia przybyszów i ułatwienia przeprawy. W każdym razie tak powinno być.

Tadeuszowi nakazano dołączyć do jednej z grup w ściśle oznaczonym miejscu, a ponieważ znał teren, miał służyć za przewodnika. W razie bitwy powinien dołączyć do osłony, potem wycofać się i pozostać na lewym brzegu.

Rozkaz ten został wypełniony tylko w małym ułamku. W wieczornych godzinach skontaktował się z właściwym oddziałem i dołączył doń, podając umówione hasło. Zaczęli więc wspólny marsz. Po pewnym czasie G. mimo przenikliwych ciemności zorientował się, że okolica, przez którą się posuwają, jest mu zupełnie nie znana. Nie mógł w żaden sposób natrafić na punkty orientacyjne, które sobie uprzednio zapamiętał. Pomyślał, że widocznie żadna z wysuniętych przez niego propozycji nie została zaaprobowana. Zresztą nikt go o drogę nie pytał i nie interesował się w ogóle jego osobą. Szedł w szeregu razem z innymi partyzantami. W którym miejscu znajdował się dowódca, nie wiedział.

Po dwóch godzinach marszu, gdy już powinni byli zbliżyć się do rzeki, dały się słyszeć strzały i wybuchy. Kanonada wzrastała. Wyraźnie można było odróżnić broń maszynową i granaty. Wreszcie wykwitły na niebie czerwone i zielone rakiety. Były to, oczywiście, sygnały, ale, co miały oznaczać i przez kogo zostały odpalone, G. się nie orientował. Zdawało mu się tylko, że te znaki, które powinny być nadawane zza rzeki, płonęły za daleko na północ od czoła kolumny. Pomyślał: zbłądziliśmy. I w tejże chwili wybuchła gwałtowna strzelanina z lewego skrzydła, a nawet od tyłu. Usłyszał donośną komendę: wszyscy naprzód! Pociski dolatywały do ich stanowisk, trzaskając po gałęziach i pniach. Gdzieś niedaleko zapalił się samotny budynek i po chwili czerwone słupy ognia już odbijały się od nisko skłębionych chmur.

Wtedy właśnie ktoś krzyknął: Zdrada — jesteśmy otoczeni. I niemal jednocześnie większość ludzi targnęła się do przodu, tam, gdzie ich kierowała komenda, a pewne grupy rzuciły się do ucieczki ku prawemu skrzydłu, gdzie nie było słychać strzałów.

G., zgodnie z uprzednio otrzymaną instrukcją, starał się nawiązać kontakt z ubezpieczeniem, które powinno się znajdować na południe od ich stanowisk, lecz zgubił się w przenikliwych ciemnościach. Obok niego przebiegali jacyś ludzie, nie wiedział, czy to swoi, czy nieprzyjaciele. Bał się zatrzymać, zapytać. Wreszcie potknął się o jakieś korzenie czy wykroty, upadł i potoczył się na dno wąwozu, porośniętego gęstymi krzewami.

Tam przeleżał chyba więcej niż godzinę. Dokoła niego rozszalała bitwa. Strzelanina to się przybliżała, to oddalała. Z kolei było słychać tylko pojedyncze strzały, w końcu i to ucichło. Wtedy z trudem wygramolił się ze swej przypadkowej kryjówki i orientując się według łuny dogasającego pożaru, zaczął powoli wycofywać się. Szczęśliwie dotarł do skraju lasu i poruszając się ciągle na zachód trafił nad ranem do znanych mu dobrze terenów. Ukrycie broni i znalezienie schronienia u życzliwych mu ludzi nie było już takie trudne.

Przez szereg następnych dni nie ośmielił się wychylić nosa. Przyczaił się jak by go nie było, jak by poległ podczas tej fatalnej przeprawy. Dopiero po dłuższym czasie zaczął szukać kontaktów. Nie było to łatwe, gdyż niektóre nici zostały całkowicie zerwane. Znów upłynęło szereg dni, wreszcie dotarł do tych, co wiedzieli. I wtedy dopiero cały przebieg bitwy został mu odtworzony tak, jak wynikał z meldunku i dokonanych wywiadów.

Z konfidentem poszło jeszcze łatwiej, bez tylu emocji i narażania się na groźne niebezpieczeństwo. Mieszkał on w mieście powiatowym. Bał się i był bardzo ostrożny. Wieczorami nie wychodził. Drzwi mieszkania nikomu nie otwierał. Udawał się do miasta tylko w biały dzień, gdy na ulicach było dużo ludzi.

Z lekka ucharakteryzowany, G. w samo południe wsunął się w tłum przechodniów, otarł się prawie o niego, wyjął z kieszeni pistolet z tłumikiem i oddał do niego dwa strzały, prawie dotykając lufą swej ofiary. Powstało zamieszanie, tłum, zgiełk i zanim sprawa się wyjaśniła, G. był już daleko poza obrębem miasta.

Te dwie akcje, wykonane brawurowo i uwieńczone tak wspaniałym rezultatem, zjednały mu uznanie w oczach dowództwa, a szczerą sympatię i podziw u kolegów. Uznany został za swego człowieka i wybitnego partyzanta. Toteż często wykorzystywano jego osobę, jeśli trzeba było wykonać jakieś trudne zadanie.

Tymczasem sytuacja w terenie zmieniała się z dnia na dzień. Armia Radziecka wyzwoliła spory szmat Polski i oparła się na Wiśle. W Lublinie powstał PKWN, rosły szeregi Wojska Polskiego. Stwarzało to mnóstwo nieprzewidzianych sytuacji.

Przede wszystkim uformował się front na Wiśle, a więc ziemie radomskie znalazły się w pasie przyfrontowym. Trzeba było bardzo ograniczyć działalność partyzancką lub przesunąć ją dalej w głąb kraju — rejon Gór Świętokrzyskich był mniej więcej odpowiednim terenem, choć i tu trzeba było działać ze specjalną ostrożnością, aby nie natknąć się na przeważające siły i nie stracić ludzi. Wskutek tego zrobiło się ciasno, bo nie tylko oddziały Armii Ludowej, ale i inne ugrupowania partyzanckie spod różnych znaków musiały tam się pomieścić. Siłą rzeczy wszelkie dawne antagonizmy się zaostrzyły, przechodząc niejednokrotnie na stosunki wyraźnie wrogie, gdyż jedni słuchali Londynu, a inni Polskiego Radia z wyzwolonego Lublina. Czasem nawet dochodziło do starć.

Miał i G. ostry zatarg z oficerem oddziału AK, którego kazał rozbroić i obezwładnić, uważając jego działalność za szkodliwą. Czy miał rację, czy nie, dziś trudno dociekać, ale w każdym razie narobił sobie zaciekłych wrogów.

Oddział „Ryszarda" stoczył w tym czasie kilka potyczek z Niemcami, w czasie których poniósł znaczne straty i w końcu został rozwiązany. Wtedy G. za zgodą swego zwierzchnictwa stworzył mały oddział dziesięciu osób dla celów rozpoznawczo-wywiadowczych do dyspozycji komendanta okręgu.

Lecz zanim to wszystko nastąpiło, spotkała go pewna przygoda, która poważnie zaważyła na jego przyszłych losach. Zdarzenie to w swym klimacie przypominało to wszystko, co już przeżył w roku 1940 w Radomiu i co stworzyło tak poważne pozory przeciw niemu. Ale był to bieg zdarzeń niezależny od niego.

Podczas swej służby w oddziale „Ryszarda" G. nie przebywał stale w lesie, tyle przecież miał zleconych czynności w szerokim terenie. Potrzebny był mu punkt oparcia, który jednocześnie służyłby za kryjówkę, i takie miejsce znalazł. Była to leśniczówka zwana Madziary, schowana wśród gęstych lasów, a jednocześnie tak położona, że z niej było wszędzie blisko. Szybko doszedł do porozumienia z gospodarzem, który zresztą sam był w konspiracji i odtąd zaczął korzystać z tej meliny. Czasem nocował sam, często z niektórymi towarzyszami. Czasem pobyt ten trwał jedną dobę, bywało, że i dłużej. Jednocześnie urządził tam swój punkt kontaktowy i nieraz przechowywał broń i amunicję.

Otóż zdarzyło się pewnego dnia, gdy pod nieobecność pana domu zakwaterował się w leśniczówce z dwoma kolegami z partyzantki, że przyszli Niemcy. Był to duży oddział zwiadowczy, którego celem było przeczesywanie lasów w poszukiwaniu elementów niepewnych i niebezpiecznych. Przyszli niespodzianie, absolutnie zaskoczyli Tadeusza i jego towarzyszy, gdyż już od dawna żaden żołnierz ani policjant niemiecki nie ośmielił się zaszyć w głąb lasu. Momentalnie otoczyli leśniczówkę i weszli do środka z bronią gotową do strzału. Powiało śmiercią.

G., jak nam to już wiadomo, władał biegle językiem niemieckim, więc choć przeraził się nie na żarty, nie stracił zimnej krwi i zaczął tłumaczyć oficerowi, że jest krewnym leśniczego, że uciekł zza Wisły przed bolszewikami itp. Gadał szybko, przekonywająco i odnosił wrażenie, że Niemiec zaczynał mu wierzyć. Podczas tego całego przemówienia myślał uporczywie, co będzie, gdy hitlerowcy przeprowadzą dokładną rewizję. W drewutni między polanami były ukryte pistolety i amunicja.

Niemcom jednak widocznie się śpieszyło, rewizji nie dokonali. Z kolei oficer zwrócił się do dwóch pozostałych, których G. przedstawił jako krewnych leśniczego — ci jednak po niemiecku ani w ząb. Tadeusz zaofiarował się jako tłumacz, jednak komendant się nie zgodził, powiedział, że w oddziale mają swoich tłumaczy i tam ich przesłuchają, a jeśli wszystko wypadnie pomyślnie, to zostaną wypuszczeni. Na razie kazał im iść ze sobą.

(Ciąg dalszy za dwa tygodnie)

nad odrze

Mirosława Kużel

Projekcje

Jest we mnie ciemność — to światło płaczących

— z pominiętych widoków ze środka białych stad
głodnych moich zwierząt z kręgów naglej ciszy
naglej ścian nagości z suchej łzy biegnącej
pęknięciami nocy jest we mnie ciemność
— to światło płaczących

— po starych śladach błądząca w sobie
— tonący oddech — tonąca w sobie — tonąca w pamięci —
mam jeszcze te postoje nocy przed dławieniem świtu
gdzie śnienie szorstkość równin kryje
skąd wypływają lekkie — bo z ciał uwolnione
statki po mirrhę kadzidło i złoto
tu ogród morza — rankiem oschła krawędź widoku —
zakwita rzadkim kwiatem krwi wolnej od ciała

— pamięć czekająca — ze świtem nadciąga —
oczy oślepłe wędrowaniem mroków
potkną się o światło zastygną w jaskrawość
codziennych krajobrazów — a we mnie ciemność
to światło płaczących.

czerwiec 69

Andrzej K. Waśkiewicz

*
* *

I

gorzkie są źródła — ze zmiętego światła
widok opadający — im dalej od oczu
tym bardziej odbiega nas ziemia i krew
znów deklinuje tętno widoku zawieszonego
w powietrzu
— jak sztandar który póty jest póki krwawi

II

widok wyzwolony od oczu — powietrze
zaciśnięte wokół imienia: blizna
po ranie której nie pamiętam
imię odwinięte z ognia
brzmi jak ziemia odległa

III

gorzkie są źródła — nie: że są gasnące
ani: że ciemne
tak cichè że sucha
skóra moja — gdy płonie — szeleści jak papier
ostatnich depesz ze wschodu
jestem tu i teraz
— rana — której nie pamiętam — była tam i wtedy

IV

wyzwolony od oczu — suwerenny — widok
wiem że jest: krwawi
rozwidnia się rana
równa ranie powietrza
jeszcze widzisz
biegnących nisko w płomieniach napalmu
jakby tej widok dławił cię — powietrzem

VII—X.67

Irena Dowgielewicz

Prośba na Dzień Matki

Pozwólcie matkom kłamać,
nie chcą prawdy ani dla siebie ani dla was.

Wiedzą, że ich miłość odstaje jak suchy plaster,
chociaż próbują służyć i żebrać przynosząc w rękach żylastych
wesoły kreton, ciasto, butki dla wnuka,
ale i butki zsunięte z dłoni schną i martwieją,
a one same żywe i ciepłe zachodzą cieniem.

Czasem, jak wygwizdany mówca,
który szuka
zapomnianego słowa
próbują mówić,
ale mówią plecom śpieszącym do szatni.

Czasem, jeżeli Bóg łaskaw, tracą wzrok i głuchną,
wtedy same do siebie mówią „mamo"
i piorą haftowane serwetki, żeby przyozdobić koszyk do chleba.

Ojcom jest łatwiej,
ojców zauważać nie potrzeba.

Henryk Szylkin

Dialektyka

Nauczyli mnie ludzie chodzić
złościć się śpiewać płakać
i brać od świata rekwizyty
dla oczu serca języka

Pokazali blask życia i pomroki śmierci
odwinęli falbanę historii
i nastawili zmysłów sejsmograf
na barwy dźwięki i ruch

A teraz przychodzą znowu
jak do magazynu
po czyny i słowa zdobyte
aby wyczerpać
baterie mózgu

Kamena str. 10

okolice sztuki

Duch „Labiryntu"

WSZELKIE rozważania o duchach są w naszej laickiej rzeczywistości zbywane pobłażliwym gestem lekceważenia, aczkolwiek starsi ludzie pamiętają dobrze, że nie zawsze tak bywało, a pamięć ową kultywują w sposób czasami dość widoczny, narażając się — o czym już mowa — na dowcipasy co bardziej zmaterializowanej młodzieży. Do starszych jeszcze, tak sądzę, nie należę, ale w tejże spirytualnej kwestii solidaryzuję się z generacją ojców i dziadów, kierując równocześnie te słowa do młodych — głównie malarzy i rzeźbiarzy.

Od dłuższego już czasu nad artystycznym Lublinem unosi się duch „Labiryntu", duch wielkiej sprawy plastyczno-organizacyjnej. Jak wiadomo, nakładem sporych kosztów i trudów taktycznych udało się przysposobić staromiejskie piwnice dawnej winiarni na coś w rodzaju „salonu ekspozycyjnego", że posłużę się tym obiegowym określeniem. Przybytek otwarto, z hukiem rzecz jasna, w Dniach Oświaty, Książki i Prasy, kierując się zasadą „lepiej wcześniej, niż później". Była to inauguracja oficjalna, nie tylko ze względu na towarzyszącą jej oprawę personalną i jupiterową. Jej oficjalność mieściła się w tym, że zaraz po owym fakcie „Labirynt" zamknięto, obiecując rozpoczęcie roboczej działalności we wrześniu. Wrzesień już mamy, „Labiryntu" nie. Kłopoty z uruchomieniem klimatyzacji w wiadomych pomieszczeniach połamały plany inicjatorów. Tzw. przeszkody obiektywne są silniejsze od energii twórczej i zapału garstki lubelskich malarzy, którym znudziła się nadbystrzycka nuda. Trzymając kciuki za pomyślność ich wysiłków, przywołajmy innego ducha „Labiryntu".

Czym ma być piwnica lubelskich plastyków? Drugim w mieście salonem na wzór Biura Wystaw Artystycznych, czyli miejscem upowszechniających kulturę artystyczną ekspozycji malarskich, rzeźbiarskich czy graficznych, dobieranych dość przypadkowo, jako że nie zawsze można udostępnić publiczności to, co należałoby? Na pewno nie — przynajmniej w moim mniemaniu. Ale równocześnie nie dostrzegam perspektyw przed modelem „Labiryntu" opartym na konwencjonalnych wystawach plastycznych, nawet odpowiednio, z jakąś myślą przewodnią zaprogramowanych. Także dyskusje w gronie samych artystów nie wyjdą — bo nie mogą — poza konwencjonalne rozstrząsanie wąskiej problematyki.

„Labirynt" jako m i e j s c e spotkań i wymiany poglądów o sztuce — ale ludzi różnych profesji, różnych dyscyplin naukowych, to jedna, moim zdaniem, i ambitna rola galerii.

„Labirynt" jako m i e j s c e działalności artystycznej niekonwencjonalnej, a więc programowo podejmującej ryzyko twórcze — oto zasadnicza funkcja galerii. To ryzyko kojarzy mi się z ciągłym przekraczaniem obowiązujących kanonów tzw. współczesności plastycznej, sprowadzającej się do kilku modnych tendencji, kilku chwytów technicznych czy technologicznych, do malarstwa zapełniającego krajowe salony wystawiennicze, a także galerie o pewnym autorytecie. Kilka miesięcy temu z sympatią i nadzieją spoglądałem na polską „nową figurację", pisząc o niej, że „jest zaangażowana w istotne sprawy tego świata". W tej chwili na dźwięk słów „nowa figuracja" dostaję czkawki. Setki już mamy w ojczyźnie takich „nowych figuracjonistów", ale nie mamy — myślę o młodej generacji — artystów, którzy osadzeni w swoim czasie i kulturowo-cywilizacyjnym miejscu potrafiliby odpowiedzieć na szereg realnych pytań, jakie stawia nasza polska rzeczywistość: o funkcje i strukturę plastyki w społeczeństwie zorganizowanym na socjalistycznych zasadach.

Oczywiście, z n ó w sprawa nie w tym, żeby automatycznie podchwytywać nowinki sztuki światowej, ale by zdając sobie sprawę z konieczności pewnych daleko idących, a istniejących przecie, „renowacji" plastyki dzisiejszej, zrozumieć przecież zarazem konieczność tych „renowacji" oraz jednocześnie potrzebę konkretnego rozpoznania polskiej rzeczywistości, która narzucać tu będzie własne specjalite.

Gaworzę o duchach, a więc o sprawach niezbyt jasno sprecyzowanych — starsi tu mają pewność, ale poza solidaryzmem, jeszczem młody — zresztą, czy można mówić o tym, czego nie ma, a co chciałoby się ujrzeć nie tylko w konwencji spirytualistycznej, ale i materialistycznej, jak i na nasz kraj przystało, a przeto sądzę, że te sprawy mimo swej enigmatyczności, zostaną uchwycone przez bezpośrednio zaangażowanych — byle nie w cudzysłowie. O duchu mówiłem, alem materialistycznie nastawiony.

Ireneusz J. Kamiński

Palant i rzeczywistość

z bocznej trybuny

PEWNA pani broniła we Wrocławiu pracy doktorskiej o historii gry w palanta na Dolnym Śląsku. Wydarzenie to stało się tematem wielu żartobliwych felietonów i notatek prasowych. Rozprawa napisana była dobrze, wątpliwość budziło jednak pytanie, czy nie mamy problemów sportowych poważniejszych, bardziej zasługujących na dociekania naukowe, czy nawet koniecznie wymagających takich badań.

Sport, ważna dziedzina życia współczesnego człowieka, angażująca czynnie miliony młodzieży na świecie i działająca na wyobraźnię setek milionów, od dawna już przestał być zajęciem spontanicznym. Uprawia się go wprawdzie nadal znacznie częściej dla przyjemności i zdrowia, niż dla zysków materialnych, lecz nawet amatorzy czystej wody, a także dzieci, na zajęciach wychowania fizycznego w szkole korzystają, w pośredni choćby sposób, z osiągnięć nauki o sporcie. W Polsce, podobnie jak w innych rozwiniętych krajach, istnieją liczne zakłady naukowe prowadzące badania naukowe w dziedzinie sportu oraz kształcące kadry, które rezultaty tych badań wprowadzić mają w życie. Oprócz Instytutu Naukowego Kultury Fizycznej i Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie oraz kilku wyższych szkół wychowania fizycznego istnieją seminaria nauczycielskie z tym kierunkiem studiów. A do tego dochodzą jeszcze rozliczne kursy trenerskie i instruktorskie prowadzone przez kluby sportowe. A jednak nauczycieli i trenerów jest ciągle za mało. W bieżącym roku otwarto w Białej Podlaskiej Wyższą Szkołę Nauczycielską, która również posiada kierunek: Wychowanie Fizyczne.

We wszystkich tych placówkach wielokrotnie więcej uwagi zwraca się jednak na fizjologię niż na socjologię sportu. Ważne jest, by z młodego człowieka wydusić skoczenie o kilka centymetrów wyżej, czy przybiegnięcie na metę o ułamki sekundy wcześniej, mniej ważne, jakie pociągnie to sobą skutki pozasportowe. Jest to tym bardziej dziwne, że w naszym ustroju sport, tak hojnie dotowany przez państwo, powinien służyć przede wszystkim celom ogólnospołecznym, a nie tylko uzyskiwaniem wyników na stadionach. Niestety, jest jak jest, prawnymi, pedagogicznymi i psychologicznymi aspektami sportu zajmuje się zawodowo niewielka grupa ludzi.

Sport traktowany jest głównie pod kątem wyniku zarówno ze strony tych, którzy zajmują się nim z tytułu swej pracy, czy swej działalności, jak też samych sportowców i ich kibiców. Do wyjątków należą takie kluby jak Odra Opole, która w pewnym okresie wypłacała większe stawki za mecze piłkarzom uczącym się gdzieś i zdającym z klasy do klasy, niż nie uczącym się. Nawiasem mówiąc, Odra odnosiła wówczas największe sukcesy. Normalnie kluby troszczą się, by zawodnik był w dobrej formie fizycznej — i o nic więcej. Jeśli źle się uczy, lub chuligani, ukrywa się to skrzętnie. Nie słyszałem o wypadku, by jakiś klub sportowy zwrócił się do doświadczonego pedagoga z prośbą o pomoc w ustatkowaniu niesfornego zawodnika. Nie słyszałem też, by jakiś znany naukowiec sam zadzwonił do prezesa klubu i powiedział: „Jestem docent X, wasz kibic, słyszałem że macie kłopoty, chciałbym pomóc". Mam wielu znajomych adiunktów i asystentów na uniwersytecie, widuję nie jednego, jak kupuje „Przegląd Sportowy", lecz nasze organizacje sportowe skarżą się, że nawet za pieniądze trudno znaleźć chętnych do poświęcenia swej wiedzy i części swego czasu dla sportu.

Rzadkim wyjątkiem jest więc pan Stanisław Jędruch, sędzia Sądu Wojewódzkiego w Olsztynie, a także kibic i sędzia sportowy, który uzyskał niedawno na Wydziale Prawa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie doktorat za pracę pt. „Odpowiedzialność cywilna za szkody wyrządzone w związku z uprawianiem sportu". Jest to najobszerniejsze opracowanie tego zagadnienia w Polsce i zapełnia dotkliwą lukę — dotychczas bowiem mieliśmy książkę prof. Jerzego Sawickiego, traktującą o odpowiedzialności karnej. Dr Jędrych wziął w swej pracy pod uwagę nie tylko przepisy prawne, ale też regulaminy i statuty sportowe oraz moralną stronę zagadnienia. — Promotorem był prof. dr Aleksander Kunicki, wielki przeciwnik boksu, a miłośnik siatkówki, lekkiej atletyki, i wioślarstwa, pływania i turystyki motorowej, do dziś uprawiający te dwie ostatnie dziedziny. Praca o odpowiedzialności cywilnej w sporcie ma ukazać się w wydaniu książkowym. Świat sportowy zyska na tej pracy bardzo wiele, mimo że nie wywołała ona takiego hałasu wokół siebie jak wrocławska rozprawa o dziejach palanta.

Paliwoda

NIE MA PRZEDAWNIENIA

STANISŁAW Goszczurny, autor powieści „Mewy", „Między ogniem a wodą", „Nieżołnierze niebohaterzy", „Prom", „Drugi powrót", „Koniec najdłuższego rejsu", wielu opowiadań, słuchowisk radiowych, laureat kilku nagród literackich, pisarz o piórze bardzo aktywnym — „którejś chwili, podczas urlopu, kiedy już dni zaczęły się nieznośnie wydłużać, siadł..." i napisał sztukę „Przyszedłem pana zabić" (cytuję żart z programowego wyznania autora, zmieniając tylko fleksję czasownika). Sposób okazał się skuteczny, bo oto powstał nowy opus sceniczny o problemie arcyaktualnym. Problemie obrachunku ze zbrodniczą przeszłością hitlerowskich Niemiec.

Sprawa zlokalizowana jest w rodzinie zamożnego przemysłowca zachodnioniemieckiego, byłego oficera gestapo, cieszącego się w swym środowisku niekwestionowaną dobrą opinią. Atoli spokój tej pozornie zacnej niemieckiej rodziny mieszczańskiej zostaje nagle zakłócony przez przybycie niepożądanego gościa, Polaka, któremu Albert Weiss wymordował bliskich ludzi.

„Przyszedłem pana zabić" to tylko sensacyjny tytuł, Polak posługuje się, „eksperymentalnie", w charakterze testu, nie nabitym pistoletem, a przede wszystkim — perswazją. Jednak w pewnym momencie o zbrodniach esesmana Weissa dowiaduje się jego córka Ewa, studentka architektury, która marzy o projektowaniu pięknych domów, i tu by mógł zawiązać się prawdziwy dramat, gdyby sztuka „Przyszedłem pana zabić" nie należała do gatunku zwanego teatrem politycznym, obywającego się bez akcji i psychologii.

W sztuce Goszczurnego czas sceniczny jest wypełniony prowadzoną inteligentnie dyskusją między Polakiem, który o niczym nie zapomniał, a Niemcem, którego przegrana wojna niczego nie nauczyła. Dyskusja ta niewątpliwie wciąga widza, absorbując go intelektualnie, a chwilami nawet poruszając emocjonalnie. Oczywiście nie współczuciem dla „wrażliwej" Ewy, tylko gniewem na tych, co nie pozwalają „zatruwać jej młodości" (kwestia ta przywodzi na pamięć męczeństwo dzieci zamojskich).

Ewa nie budzi sympatii, ponieważ jest scenicznie nieprawdziwa nawet w teatrze faktu. Jako znak przemiany społeczeństwa NRF postać taka byłaby możliwa jedynie w wyniku jego reedukacji, a przecież wiemy doskonale, że proces ten nie został bynajmniej zapoczątkowany. Problem zbrodni i kary nie nawiedza sumień większości obywateli Niemieckiej Republiki Federalnej. Zbrodniarze (i nie sami zbrodniarze) żądają przedawnienia, zasłaniając się „rozkazem", ba — odrzucają w ogóle pojęcie zbrodni wymieniając je na „ideę", niekoniecznie dyskwalifikowaną!

Wiadomo, więź narodowa łączy ludzi w przestrzeni i czasie. Są tradycje dobre i złe. III Rzesza przekazała NRF złą tradycję: butę teutońską, bezwzględność Uebermenschów, ich Drang nach Osten. Nie łudźmy się co do młodzieży, która wychowuje społeczeństwo nie poddane reedukacji. Najekrutniejszymi esesmanami byli młodzi.

Dlatego myślę, iż dobrze się właściwie stało, że Goszczurny napisał nie sztukę psychologiczną, lecz publicystyczną, nie rozczulającą. Kierunek tej publicystyki scenicznej jest słuszny i bardzo przydatny dla reedukacji — pięknoduchów skłonnych do superszlachetnych przebaczeń.

Wdzięczność za wybór tej pozycji repertuarowej należy się Markowi Okopińskiemu, który właśnie objął dyrekcję Teatru Wybrzeże, i współpracującemu z nim, na stanowisku kierownika literackiego, Stanisławowi Hebanowskiemu.

Wyreżyserował rzecz sam M a r e k O k o p i ń s k i, dokładając — wespół ze scenografem J e r z y m K r e c h o w i c z e m i autorem ilustracji muzycznej J a n u s z e m H a j d u n e m — wielu starań, by uteatralnić tworzywo tak oporne inscenizacji, jakim jest dyskusja polityczna. Za szczęśliwy pomysł uważać można przebitki wyświetlane poprzez „żaluzje" w tle. Swym stylem plakatowym współgrały one z dialogiem.

Aktorzy: L e c h G r z m o c i ń s k i (Gość, Polak), H e n r y k B i s t a (Albert Weiss), I r e n a M a ś l i ń s k a (Marta Weiss, jego żona), J a d w i g a P o l a n o w s k a (Ewa Weiss), S t a n i s ł a w D ą b r o w s k i (Franz Müller, adwokat) i J e r z y N o w a c k i (Rudolf Martens, kolega Ewy, student) nolens volens spełniali wskazówkę Brechta co do „stania obok roli", nie wyzyskując wszystkich swoich możliwości, którymi wykazaliby się w sztuce psychologicznej.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Wycieczka za równik

Dokończenie ze str. 8

topione do połowy w obfitą, soczystą, różnokształtną zieleń. Bałem się zrobić krok w lewo albo w prawo, żeby nie wejść na węża, przed którym od dzieciństwa czuję wielki respekt. Ścieżka spadała w dół. Przede mną aż do horyzontu rozciągała się dolina porosła trawą i drzewami. Podniosłem do oczu lornetkę i znieruchomiałem. Na wzgórzu zamykającym po drugiej stronie dolinę zobaczyłem wycelowany we mnie karabin. Porażony strachem cofałem się na sztywnych nogach aż nagle zawadziłem obcasem o wystający z ziemi korzeń i runąłem plecami na ścieżkę. Podniosłem się i pobiegłem do samochodu. Porucznik coś słyszał, bo nagle stanął przede mną i zapytał, co się stało? Oni tam są, wyjąkałem, i mają karabin. Nie strzelą, powiedział spokojnie. Teraz w Lizbonie jest mecz. Eusebio strzelił już dwa gole. Jak gra Eusebio, nikt nie strzeli, ani oni, ani my. Wtedy słuchamy radia. Takie jest prawo tej wojny. Powoli opadał ze mnie strach jak stara skóra z węża. Wszedłem do samochodu i usiadłem na tylnym siedzeniu obok porucznika. Kiedy w radioobiorniku ustały wrzaski, odjechaliśmy. Zadowoleni żołnierze rozmawiali po portugalsku. Rozumiałem tylko jedno słowo: Eusebio. Wiatr chłodził mi twarz. Czułem pot pod pachami i gorączkę wzbierającą w krzyżu. Ile trwa taki mecz, zapytałem, kiedy dojeżdżaliśmy do miasta. Dziewięćdziesiąt minut, odpowiedział porucznik. Półtorej godziny. Półtorej godziny, powtórzyłem jakby chcąc się upewnić, czy dobrze zrozumiałem. Ale jak jest ciekawy mecz, to czas szybko zleci. Jak dzisiaj, powiedział porucznik. Poprosiłem, żeby mnie zawieziono przed portową bramę. Zdążyłem jeszcze na kolację. Ledwo otwarłem drzwi od messy, wykrzyknąłem z radością w głosie jak jakąś przyjemną i ważną dla wszystkich nowinę: — Panowie, Eusebio strzelił dzisiaj Anglikom dwa gole. Oba z solowych rajdów. Znad talerzy spojrzano na mnie z zainteresowaniem i aprobatą.

Janusz Koniusz

moje **LEKTURY**

Reymont, Szekspir i inni

LUBIĘ bardzo ten rodzaj reportażu, który uprawia Marian Brandys w tomie „O królach i kapuście", choćby opowieści o tajemnicach Nałęczowa i tyszowieckich szewcach. Nie zawsze są to reportaże w ścisłym znaczeniu, ale zawsze opierają się na tym, co autor słyszy i widzi. Czasem wyczyta. Często przypominają one opowiadania historyczne, a jeszcze bardziej — gawędę, która w naszej literaturze ma tak świetne przykłady, dawne i nowe. W reportażach takich — pozostańmy przy tej nazwie — otrzymujemy uroczy splot współczesności i historii, prawd i legend, faktów i przypuszczeń. Autor — bywa — legendy poddaje weryfikacji dokumentów, ale czy brak zapisanego poświadczenia przemawia przeciw legendzie? Więcej: nie zawsze zachowany dokument zasługuje na zaufanie. Nie od dziś zaś wiemy — potwierdzają to ciągle historycy — że w każdej legendzie znajduje się okruch prawdy. Ten okruch najcenniejszy jest dla badacza. A pisarz, reporter? Tych interesuje nie tylko prawda, ale i zmyślenie.

Oba te składniki, wymieszane ze sobą, spotykamy w książce Tadeusza Szewery „O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta", mamy tu do czynienia i z legendą, i z historią, choć nie z tą z wielkiej czy nawet średniej litery. Autor podejmuje tematy niby peryferyjne, uboczne, umie jednak zainteresować nimi czytelnika, wciągnąć go w krąg swojej opowieści i poprowadzić tropami swoich poszukiwań. Umie spowodować, że przedmiot reportażu staje się dla czytelnika ciekawy i ważny. Z jednakową powagą słuchamy informacji o związku pewnych utworów Reymonta z okolicami majątku, należącego kiedyś do pisarza, jak wspomnień ludzi o „dziedzicu Reymoncie", po którym nic tam materialnego nie pozostało, ale sam autor „Chłopów" żyje w legendzie, a ta z latami nabiera trwałości.

Szewera umie sobie dobierać bohaterów. Oto Francuz Paul Ganier d'Abin, uczestnik powstania styczniowego 1863 r. w randze pułkownika, poległy w bitwie pod Cyrusową Wolą koło Łowicza. Ale oto w parę lat później prasa doniosła, że Paul Ganier d'Abin stał na czele zwycięskiego powstania, w którego wyniku został prezydentem Republiki Dominikańskiej. Informacje mówiły o jego udziale w polskim powstaniu, mówiły o awanturniczym życiu pułkownika. Czy jednak naprawdę chodzi tu o historię jednego człowieka, czy tylko zbiegają się dwie sprawy ludzi o jednakowym imieniu i nazwisku? Radby to wiedzieć i autor książki.

Ze szczególnym zainteresowaniem czyta się szkic „Joanna w żołnierskim mundurze". Podzielam zdanie Szewery o „Huraganie" Gąsiorowskiego. Tę książkę czytałem we wczesnych latach gimnazjalnych i nawet lektura „Popiołów" nie zatarła moich przeżyć i wrażeń z tamtej powieści. Do dziś — choć na nowo nie czytany — „Huragan" należy do najlepszych moich czytelniczych wspomnień. Została zwłaszcza na zawsze z pamięci ta niezrównana para — markietanki Joanny Żubrowej i jej męża. Kiedy przypominam sobie niektóre sceny, nie jestem pewien, czy pochodzą one od Gąsiorowskiego czy z „Popiołów".

Właśnie szkic o bohaterce „Huraganu" należy w książce do najlepszych. Prześledził autor jej losy, zbadał, na ile to było możliwe, burzliwe dzieje jej osiemdziesięcioletniego życia. Któż by się spodziewał, że powieściowa Joanna została naprawdę pochowana w Wieluniu?

Myślę zresztą, że dla autora, a chyba i dla czytelnika, nie najważniejszy jest punkt dojścia, ale sama czynność tropienia prawdy i legend, sam sposób szukania śladów historii. Szewera bowiem nie tylko przedstawia wyniki swoich dociekań. Ukazuje czytelnikowi — jak się to robi. Dlatego nie zamyka drzwi do swojej kuchni, nie zataja ogniw i przebiegu poszukiwań. Zostawia nawet ślady pomyłek i tropów fałszywych. Przez to książka nabiera prawdy i wewnętrznej dramaturgii, a u czytelnika zyskuje kredyt zaufania. Zresztą autor zawsze czytelnika ma na uwadze, zwraca się do niego, liczy na jego uczestnictwo w tych historycznych i literackich zabawach. Bo jeśli nie zawsze ciekawi nas samo rozstrzygnięcie, czy Reymont miał wąsy, czy nie, lub też czy Szekspir pił w Rawie piwo, czy nie, to może nas zainteresować to wszystko, co z przeszłości zachowało się w ludzkiej pamięci i domaga się cierpliwej rekonstrukcji, choćby nawet było, jak pisze Szewera, „powleczone pozłotą legendy".

A że na takie książki jest zapotrzebowanie, świadczy fakt, iż reportaże Tadeusza Szewery po roku ukazują się w nowym wydaniu. To także dowód, mimo pewnych łatwizn i mielizn, pisarskiego sukcesu autora.

Swoją drogą, czytając „O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta", nie mogłem się opędzić myśli, czemu nie powstała podobna książka o motywach wziętych z Lubelszczyzny. Szewera jest reporterem radiowym, jego książka, powstała z wędrówek i ciekawości ludzi. W Lublinie, w radio, także pracują dobrzy pisarze i reporterzy. Gdzie ich książkowe plony? Parę tematów podjął swego czasu wspomniany już Marian Brandys, a słychać, że znowu wybiera się w nasze strony. Nie ma jednak zmartwienia, tematów starczy dla wielu.

Tadeusz Kłak

Tadeusz Szewera: O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta. Wyd. II. Łódź 1969. Wyd. Łódzkie.

Krzyżówka nr 8

POZIOMO: 1. edytor, 5. kompozytor czeski, twórca „Sprzedanej narzeczonej", 8. w łańcuckim muzeum, 9. pomost w morze, 11. płaskie naczynie stołowe, 13. polska piosenkarka, 15. wczesne stadium rozwoju owada, 16. język Indii środkowych i północnych, 18. imię twórcy „Króla Rogera", 19. rzeka we Francji znana z historii I wojny światowej, 20. region na pograniczu Polski i Słowacji, 23. znany utwór Dürrenmatta, 27. okrasa, 30. zmiękcza łóżko, 31. kobieca postać z „Mazepy" Słowackiego, 32. francuski poeta, laureat Międzynarodowej Nagrody Pokoju w 1953 r., 33. kobiece zwłoki dla śledztwa, 34. miasto powiatowe w woj. rzeszowskim, 37. miasto portowe nad ujściem Loary, 41. brzeg, krawędź, 44. nowela B. Prusa, 46. imię twórcy Sherlocka Holmesa, 48. łączy dwa punkty, 49. odznaczenie, 50. zmysłu lub władzy, 51. życiodajny gaz, 52. rzeka w Hiszpanii pamiętna z wojny domowej, 53. przedmiot kultu ludów pierwotnych, 54. ptasi dom, 55. pałac hiszpański, słynny w Toledo.

PIONOWO: 1. szablon, 2. dużo wojska, 3. bóg słońca, 4. polska miara objętości, 5. zgoda, 6. twórca Tomka Sawyera, 7. kwestionariusz, 10. kawał czasu, 12. metal lub skóra, 14. prawy dopływ Bugo-Narwi, 17. część świątyni greckiej przeznaczona dla posągu bóstwa, 21. pomoc w nagłej potrzebie, 22. grupa społeczna wyróżniona w pewnej hierachii, 24. hałas, łoskot, 25. olbrzym, 26. brazylijski pisarz, twórca „Kakao", 27. wielkie morze, 28. kleryk, 29. radziecki historyk, biograf Napoleona, 34. twórca „Księgi dżungli", 35. miasto portowe w Algierii, 36. prowincja Związku Płd. Afryki, w której wiele lat spędził Gandhi, 38. twórca, 39. bazar, rynek, 40. uczestnik wojny trojańskiej o donośnym głosie, 41. upust od ceny przy zapłacie gotówką, 42. Mickiewicz pisał o Ordona, 43. imię Wiśniowieckiego i Stępowskiego, 45. w igle, 47. piękno.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 6

POZIOMO: cytologia, plansza, Ubryk, areopag, Kliszczak, okapi, doktor, Niemcewicz, bryg, intruz, trafo, Bona, cyrk, Iława, szpile, Eros, Witkiewicz, ruinki, sieja, ochmistrz, Biebrza, tuzin, Anabaza, wiatrówka.

PIONOWO: Coulomb, tarpany, lekkie, goniec, awiz, płaz, Aleko, szpat, Algerczyk, Radzionków, Pigmalion, katecheci, Mickiewicz, Eltra, Amati, Besarabia, Rzeszów, stajnia, esteta, Isztar, Irena, korba, hala, wici.

Nagrody otrzymują: Andrzej Strzemeski, Toruń, Krasińskiego 44/4, Julian Kania, Rzeszów, Kniewskiego 6/2, Zofia Chmiel, Przybyszówki Dworzysko, pow. Rzeszów, Stanisława Jasińska, Lublin, Męczenników Majdanka 29/1.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Rzeczywistość, jak zwykle, przekracza nasze najśmielsze spodziewania. Istnieje niejaki M. Pigoński, któremu kącik tu otworzyliśmy? Istnieje. I oto mamy już odzew na tę inicjatywę. Pan K. Ł. z Bielawy (miejscowość wyjątkowo szczęśliwa dla „Kameny", bo z niej wielu naszych autorów pochodzi) pisze: „Wyrazy wdzięczności za otwarcie Kącika M. Pigońskiego, czyli pierwszego organu zarezerwowanego wyłącznie dla twórczości empigonistycznej. Dotychczasowy przebieg dyskusji nad tym kierunkiem w naszej poezji pozwala żywić nadzieje, że empigonizm ma przed sobą szerokie perspektywy rozwojowe. W związku z powyższym proszę — w przypadku ewentualnego utworzenia Klubu Empigonistów — o wpisanie mnie w poczet jego członków. Dołączone próbki świadczą, mam nadzieję, o moich usilnych staraniach w tym względzie". Z rozkoszą spełniamy prośbę — tworzymy zatem Klub Empigonistów, przyjmujemy Pana K. Ł., mianując prezesem samego M. Pigońskiego. Na inaugurację drukujemy próbki erotyków obu członkowiczów. Wpierw Prezes:

KIZIA

Kizia Mizia kizia
nie kiziaj nie kiziaj
bo się skiziasz
Kizio Mizio

Podszedł Michaś
Kizia kiziasz
kiziam kiziam
pełna micha
Michaś kicha
kiha skąd u licha
błąd tylko kicha
ciepła kicha

Kizia kiziasz
kiziaj kiziaj

Na koniec członek:

EROTYK NR 1

ewka dziewka
jak konewka
dla cię
ma śpiewka
idziem
w
drzewka
ewka
e

Skłonni bylibyśmy też przyjąć w poczet klubowców Pana W. B. z Lublina, którego fragment poematu brzmi:

Pęd pędem pędzony
popędza pędzących
wyłupków trwoniących
wyskrobków więdnących
wypędków zachwianych
wypępków rumianych
wyrobków pazernych
wyglupków żołędnych —!—

Oczekujemy na dlasze zgłoszenia...

Nadesłane książki

Państwowy Instytut Wydawniczy

Proza

Andrzej Braun, Próżnia. Powieść współczesna, której akcja dzieje się na wschodzie Polski podczas walk z kontrrewolucyjnym podziemiem. Pokazuje bezpośrednie oblicze rewolucji, widziane z perspektywy jednostkowych losów ludzkich, tragicznie niejednokrotnie powikłanych i sprzecznych.

Seweryna Szmaglewska, Odcienie miłości. Zbiór opowiadań znanej autorki, która z pewnego dystansu obserwuje swoich bohaterów, ale dystansu nie wykluczającego ciepłej nutki liryzmu i humoru, jaki przewija się w tych kameralnych gawędach.

Michał Ańczarow, Złoty deszcz. Pierwsza książka radzieckiego pisarza (ur. w 1923 r.) tłumaczona na język polski. Zawiera dwie mikropowieści napisane prozą nowoczesną, analizujące w sposób subtelny skomplikowania mikrokosmosu, jakim jest psychika ludzka.

Irina Griekowa, Ogniowe próby. Autorka radziecka już u nas tłumaczona. Bohaterami jej powieści są ludzie ze środowiska naukowców-fizyków. Akcja dzieje się w latach pięćdziesiątych na poligonie doświadczalnym w Azji Środkowej i skupia się na problemie odwagi cywilnej i bezkompromisowości.

Walentin Katajew, Trawa zapomnienia. Całkowicie odmienna w swej formie (od dotychczasowego dorobku wybitnego pisarza) powieść osnuta na tle wspomnień o znanych autorowi twórcach, jak Majakowski, Babel, Błok, Bunin i inni. Katajew próbuje m. in. ocenić dzieło tych pisarzy w kategoriach odmiennych niż stosowane w dotychczasowej krytyce radzieckiej.

Hermann Kesten, Maur z Kastylii. Pisarz niemiecki dobrze znany polskim czytelnikom — z wielu tłumaczeń. Książka jest pierwszą częścią trylogii ukazującej burzliwe dzieje Hiszpanii w XV—XVI w. Wielka znajomość realiów historycznych i procesów społecznych tego czasu.

Wil Lipatow, Wiejski Sherlock Holmes. Powieść, która ukazała się w serii KIK-u, przedstawia znakomitą galerię typów ludzkich i klimat syberyjskiej ziemi. Bohaterem jest stary wiejski milicjant, postać niemal śmieszna, lecz o wielkim ładunku dobroci i wrażliwości.

Listy do KAMENY

Jeszcze o fałszywych widoczkach

Przeczytałem z zainteresowaniem korespondencję pt. „Kicz w muzeum", zamieszczoną w „Kamenie" nr 15 br. Artykulik wart uzupełnienia. Nie znam osobiście p. A. Roszewskiego, ale rzecz poruszył na czasie, toteż solidaryzuję się z jego wystąpieniem, bo tak rzeczywiście bywało i bywa. O ile więcej można by na ten temat powiedzieć! Jest np. sklep przy ul. Słowackiego, w którym obok wizytówek, ramek i lusterek umieszcza się systematycznie w oknach wystawowych (prywatny interes), obok starodawnych fabrycznych oleodruków, także czyjąś amatorską galerię pejzaży. A te zaś widoczki pasących się krówek, zachodów i wschodów słońca, te chatupy i młyńskie wodospady oraz im podobnie cukierkowe zagajniki i ruczaje są tak fałszywie robione, jak fałszywa może być kaskada dźwięków, czyniona przez kogoś, kto nie umie grać na żadnym instrumencie, ale uparcie wciąż na czymś się tam wyżywa. Po prostu oczy i głowa bolą, gdy się patrzy na te nieudolne bohomazy... Jest to, podobnie jak w opisanej ekspozycji muzealnej, natrząsanie się z dobrego smaku.

Albo to jeszcze: wracając z jakiegoś odczytu w bibliotece miejskiej, znajdującej się przy tej samej ulicy, w hallu ujrzałem porozwieszane mocno kolorowe i niemiłosiernie kiczowate obrazy, w sumie ze dwadzieścia sztuk, które cieszą może oczy odwiedzającej ten lokal, nieuświadomionej malarsko, młodzieży szkolnej, ale powstydziłby się je powiesić u siebie choćby w łazience ktoś, kto cokolwiek zna się na sztuce!

— Popierajmy malarską twórczość amatorską — napisał w omawianej notatce p. Roszewski — ale autentyczną, a nie wyczyny ludzi może dobrej woli, ale bez okruszyny talentu... Dodam, że szkoda, iż tak się dzieje, że zarządzający naszymi świetlicami, klubami i czasem nawet muzeami kierownicy i kustosze — o ile sami nie rozróżniają malarstwa artystycznego od jarmarcznej szmiry, nie konsultują się u kogoś kompetentnego: co i jak powiesić w lokalu, aby fałszowane „widoczki" nie psuły harmonii widzenia, zwłaszcza u zaczynającej dopiero malarsko patrzeć młodzieży. Nasuwa się refleksja, że o ile sporo ludzi zna się jako tako na muzyce, to o wiele mniejszy odsetek ma „wysmakowany" pogląd na prawdziwe malarstwo. Mówić niejednemu o fakturze, perspektywie, plenerze i światłocieniu, to tak, jakby banialuki jakieś prawić o czarodziejskiej krainie. Socrealizm, kubizm, ekspresjonizm, taszyzm i inne kierunki w światowym oraz rodzimym malarstwie dla wielu nawet inteligentnych osób to istna chińszczyzna. Dzieje się tak chyba dlatego, że od dziecka mało nas interesowano zagadnieniami plastyki. Ambicją rodziców jest przeważnie, aby synalek czy córka uczyli się grać na fortepianie, skrzypcach, akordeonie itd. O wrażliwości na piękno przyrody i piękno wytworów rąk ludzkich jakoś mniej się dba u nas w przeciętnej rodzinie. Naiwnie uważają, że paleta, farby olejne, pastel, gwasz czy węgiel rysunkowy to żaden prezent imieninowy lub gwiazdkowy dla ruchliwych nastolatków, że taki zbytek jest w domu całkiem niepotrzebny. No i bywa, że dorośleją biedni ludzie bez wyobraźni i smaku artystycznego, dla których sztuka linii, brył, kolorów i kształtów wydaje się zbędna do studiowania. Ludzie grają często i śpiewają dla rozrywki we własnym domu. I o malowania zaś czy rzeźbienia w kamieniu lub drzewie nie garną się z braku czasu i ochoty. Narzekają pedagodzy, że jeśli chodzi o uzdolnienia plastyczne wśród uczniów, to rok w rok trafiają się beztalencia w klasie... A gdzież ci uczniowie mieli nasiąknąć kulturą plastyczną, o której mało w rodzinnym domu słyszeli, zaś wychowawcy w instytucjach publicznych pozaszkolnych — jak wyżej wraz z p. Roszewskim wspomnieliśmy — także błądzą, skoro przydarza się im kultywowanie kiczów?

Stefan Czejkowski
PRZEMYŚL

Nauczyciel do wszystkiego

Jestem nauczycielem w powiatowym mieście na Kielecczyźnie, gdzie dociera wasze pismo, które zamieszcza czasami artykuły związane ze szkolnictwem. Nie spotkałem jednak dotąd artykułu o sytuacji nauczycieli. Nie chodzi mi o sytuację materialną, ponieważ wszyscy wiedzą, jak z tym jest. Chodzi mi o coś innego. Kiedy po ukończeniu polonistyki trafiłem do szkoły podstawowej w tym mieście, kazano mi nauczać języka rosyjskiego, choć były osoby bardziej ode mnie w tym kierunku wykwalifikowane. Rzecz w tym, że moja zgoda usuwała kłopoty z planowaniem zajęć naszego grona. Zgodziłem się, bo cóż ma do powiedzenia w szkole młody nauczyciel? Nic. W tej chwili, po trzech latach od przekwalifikowania się, znam język rosyjski dobrze, i chyba dobrze nauczam dzieci. Pytam jednak, po co państwo kształciło polonistę, żeby ten po uzyskaniu dyplomu musiał zmieniać specjalizację?! Gdyby mój przypadek był odosobniony, niewielki problem. Ale w tym roku przyszedł do nas historyk, też po studiach uniwersyteckich, i jemu zlecono nauczanie języka rosyjskiego. Nie, to moich interesów nie podważa, bo i tak był potrzebny rusycysta. Ale dlaczego historyk ma wykładać obcy sobie przedmiot? Zanim się nauczy, upłynie sporo czasu, a mimochodem zapomni o swojej wiedzy historycznej. Jaki wniosek? A taki, że gospodarzenie kadrami w naszym szkolnictwie jest co najmniej niewłaściwe. Mówimy o takich i innych przyczynach kryzysu zawodu nauczycielskiego, leżących poza systemem naszego szkolnictwa, a nie dostrzegamy błędów tkwiących wewnątrz samego szkolnictwa. A stosunki, jak to się mówi, międzyludzkie w szkolnictwie, to co — radość sama?! Mam inne zdanie.

Z wyrazami szacunku

Mirosław K.
(NAZWISKO I ADRES ZNANE REDAKCJI)

Więcej o naukach przyrodniczych

Zakres tematyczny „Kameny" jest niewątpliwie obszerny, co stwierdzam jako stały czytelnik pisma. Osobiście odczuwam jednak pewien niedosyt artykułów o sytuacji i osiągnięciach nauk przyrodniczych, co wynika zapewne z moich indywidualnych zainteresowań. Jest jednak obiektywną prawdą, że znaczenie tych nauk rośnie z roku na rok, czemu towarzyszy równolegle wzrost społecznego zainteresowania, nie pozostający bez wpływu na kształtowanie się postaw światopoglądowych.

Sam Lublin, z kilkoma wyższymi uczelniami, to szerokie pole dla publicystycznej penetracji. Mamy ciekawe osiągnięcia w naukach biologicznych, w chemii, fizyce, geografii i matematyce. Jeden z lubelskich naukowców znany jest z działalności teoretycznej w zakresie lotów kosmicznych. Katedry WSR uczestniczą w programie naukowo-badawczym UNESCO. Wiele katedr chemii i fizyki współpracuje z kombinatami przemysłowymi, że ograniczę się do wymienienia puławskich „Azotów" i tarnobrzeskiej „siarki"... Można wymienić jeszcze szereg przykładów, potwierdzających wysoki poziom lubelskich nauk przyrodniczych i ich przydatność dla praktyki gospodarczej czy społecznej.

Warto więc chyba częściej zwracać uwagę na te rejony wiedzy i udostępniać ich skomplikowaną problematykę ludziom, dla których fizyka dzisiejsza, wskazując przykładowo, to istna czarna magia. Widzę miejsce w „Kamenie" na stałą informację o najbardziej istotnych odkryciach dzisiejszej nauki, informację zaopatrzoną w refleksyjny komentarz z pozycji humanisty. Jestem przekonany, że podjęcie przez pismo takiej tematyki spotkałoby się z przychylnym oddźwiękiem u czytelników.

Jarosław Dąbrowski
LUBLIN

Od redakcji: Istotnie, jako pismo społeczno-kulturalne stosunkowo niewiele miejsca poświęcaliśmy naukom przyrodniczym, bardziej troszcząc się o cele zakreślone profilem pisma. Zastanowimy się jednak nad postulatem naszego czytelnika.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja **KRÓLIKOWSKA.**

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 33
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

Zam. 2178. 10.IX.69. 8485. F-4.

MINUTA MYŚLENIA

Disce, senex

WPRAWDZIE pismo, którego szpalty w tym miejscu zdarza mi się deprecjonować, swoją uwagę studentom poświęci dopiero za cztery tygodnie (na 25-lecie powstania UMCS), ale niech raz przynajmniej wystąpię w roli prekursora: napiszę o tym teraz. Pierwszy wyczuwalny podmuch jesieni to jeszcze szkoła podstawowa i średnia, drugi — wyższa.

Przede wszystkim chciałbym wyrazić mą zazdrość tym wszystkim, którzy wkrótce przy dźwiękach „Gaudeamus" zostaną wlączeni do radosnej społeczności młodzieży studiującej. Chciałbym, lecz nie potrafię, ponieważ nie jestem współczesnym poetą, co predestynowałoby mnie do złożenia maszynopisu już na CLVIII tom Lubelskiej Biblioteki Poetyckiej. Słowem zaś prozaicznym nie wyrażę w pełni uczuć, które mną targają, kiedy wracam pamięcią do czasów odległych o prawie ćwierćwiecze (Hamilton w tym miejscu mógłby się pochwalić co najmniej pięćdziesiątką). Pozwólcie więc, Młodzi, że w dniu 1 października roku właśnie nam bieżącego z zazdrością będę spoglądał na Wasze ożywienie przypominając sobie co nieco z tego radosnego, ale i strachliwego skurczu serca towarzyszącego okolicznościom tego dnia.

Przeszło osiemnaście tysięcy. Dobijamy do dwudziestki. Jeszcze parę lat temu można by napisać, że „co dziesiąty mieszkaniec". Niestety, w wyścigu znajduje się tu również liczba lublinian nie uczęszczających na wyższe uczelnie, tak więc trudno tę dziesiątkę będzie sobie zaliczyć. „Qualis artifex pereo"! Jakiż artysta ginę — zachwycił się kiedyś sobą Neron. A przez niemożność osiągnięcia tej dziesiątki jakiż piękny ginie zwrot publicystyczny!

Pal go diabli. Na pewno coś innego wymyśli sama rzeczywistość. Trzeba tylko będzie poświęcić się nieco zajęciom perypatetycznym na terenie Miasteczka Uniwersyteckiego, kiedy sznureczki studiujących płci obojga przeciekać będą z domów akademickich ku gmachom katedr pod nie wiedzieć czemu nieco osmętniałym spojrzeniem spiżowej Marii Curie-Skłodowskiej.

Co usłyszę? Na pewno coś o odcieniu szminki i teorii kwantów. To pomieszanie tematów, które mi nigdy nie odpowiadało jest chyba nieodłączne w tym środowisku, szczególnie chyba w obecnej dobie, kiedy nauka wprawdzie powoduje konieczność specjalizacji, ale równocześnie — potrzebę wzajemnej korelacji wyspecjalizowanych dziedzin. Szczebiot w podnieconym oczekiwaniu sobotniej potańcówki i na poły spłoszone repetytorium ze skryptów. Oczywiście nie zgłaszam tu projektu co do obowiązku śmiertelnej powagi ilekroć ma paść termin naukowy, wszak

W ksiąg greckich, rzymskich steki
nie wlazłeś po to, byś gnił,

ale coś tu skrzeczy, jak niedobrana nuta w akordzie. Sprawia wrażenie, że z dorosłością nie najlepiej, a już przecież nawet Jacek wykazuje podziwu godną rozwagę i stateczność sądu. Ba, Jacek. Jeśli w tym tempie pójdzie jego rozwój, nie zdziwimy się, ujrzawszy go na katedrze. Informacji. Informacji udzielanej pracownikom „Sztandaru" o tym, jak powinna wyglądać informacja w gazecie.

Koniec zrzędzenia. Bo przecież „u progu", przy „wkraczaniu w podwoje", kiedy chwila wzywa „na start", sam bym sobie wydał świadectwo jak najgorsze nie wykrzesawszy z siebie wspomnień młodzieńczości nieodzownych przecież, kiedy o młodości się pisze. Pimko z „Ferdydurke" na tę okoliczność wdział nawet krótkie spodenki odsłaniając publicznie cały swój reumatyzm. Nie mam tyle odwagi, aczkolwiek tyleż reumatyzmu. Pragnę jedynie zaznaczyć, że dzień ten ze względu na całą masę synów znajomych — powitam z wielką atencją również ze względu na koniec moich przed- i poegzaminacyjnych utrapień.

Jeśli zaś chodzi o własną linię genealogiczną, mam znacznie większe kłopoty, nie skore do ustąpienia nawet w tym dniu. Chodzi o dzielenie ułamków i wyciąganie wspólnego mianownika. Ale jakoś może dam sobie radę. Udam, że piszę felieton.

Ijon

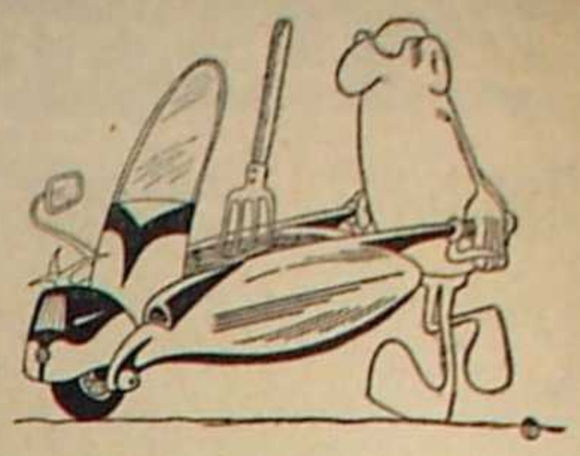

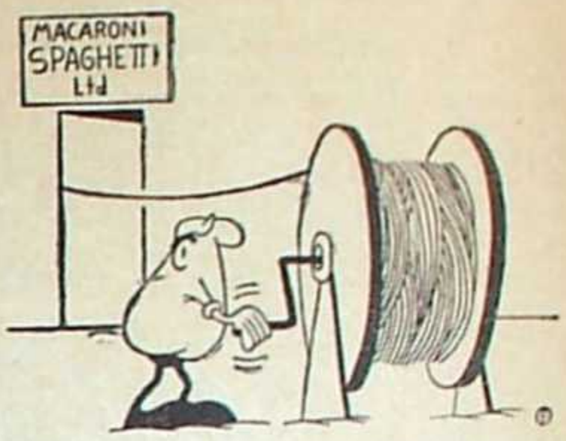

Rys. Wiesław Fuglewicz

BIG-BEAT

Wąchając hinduskie kadzidło

PANIE Redaktorze! Pan (chciałoby się napisać „Kolega", ale się boję, że gotów się obrazić) Mirosław Derecki przywiózł mi w prezencie ze swego londyńskiego wojażu wiązankę hinduskiego kadzidła. Wsadza się taką bardzo cieniuteńką pałeczkę, do doniczki z ziemią, zapala, ogienek się żarzy i w pokoju rozkoszny zapaszek... Kiedy zechce mnie Pan objeżdżać za moje felietoniki, proszę mnie uprzedzić. Pokadzę i zaraz nastrój się zmieni. Powąchamy sobie, pogwarzymy przyjemnie, powzdychamy do słońca, Pan przypomni swoje studenckie lata, chude i tłuste, będzie fajowo.

Fajowo... Zaraz, zaraz. Panie Redaktorze, a może właściwie powinienem się obrazić na Pana Redaktora Dereckiego? Czy to kadzidło nie stanowi jakiejś aluzji do tego, o czym piszę? Że niby stępiło się ostrze mojego pióra? Mam sygnał ostrzegawczy: Pani Redaktor Mirosława Knorr, która lubiła mi czasem (choć rzadko) łatkę przypiąć, pochwaliła mnie w „Sztandarze Ludu" za felietonik o Klossie. I ona się oburzyła z powodu tych pocztówek, które na ulicach warszawskich do łap nam wpychają. Właściwie warto by się cieszyć, ale jakoś nie potrafię. W piórka obrosłem, czy co, u licha? Może rzeczywiście zasługuję już na Katedrę Informacji (patrz: felieton Ijona)?

Piszę te słowa w trakcie wdychania wzmiankowanego wyżej (człowiek się uczy urzędowego stylu) kadzidła. Chciałoby się to i owo poganić, ale nijak mi nie idzie. Mój żelazny temat: budowa pawilonu handlowego na Osiedlu im. Słowackiego prysnął jak bańka mydlana. Wyglądam oknem — pawilon stoi wypucowany. Kawałek alejki wyasfaltowano. Licho wie, dlaczego tylko kawałek. Chyba w zimie dokończą. Myślałem, że napiszę o ślamazarnej wymianie palników gazowych, jako że otrzymaliśmy wreszcie gaz ziemny. Gdzież tam! Gaz jest przed czasem. Za jedne 120 złotych. Oczywiście bez pokwitowania. Kto by tam się bawił w biurokrację!

Można by pokrytykować zaopatrzenie Lublina. Też trudno. Dziś kupiłem kilogram prawdziwej kaszanki. Cudo. I kilogram schabu. Mogłem kupić, ale forsy zabrakło. Mogłem też kupić butelkę węgierskiego „Budafoku". Półki gną się od tego specjału. Gorzej z wódką wyborową. Nie szkodzi, kupię w Budapeszcie. Jeśli Pan Redaktor wyśle mnie służbowo i wyreklamuje na uczelni.

Jest też halibut z dalekich wód, herbata indyjska, kawa brazylijska, gołąbki bułgarskie, sok kubański. Nie ma natomiast konserwy z napisem: „kiełbasa z kapustą", albo „bigos po polsku". Słusznie, sam się mogę pomęczyć i wypichcić. Halibuta przecież w akwarium nie wyhoduję, herbaty w doniczce nie wysieję, ananasy na balkonie nie wyrosną.

Tak więc i ten temat diabli wzięli. Pokornie chylę głowę przed naszymi handlowcami i szukam dalej.

„Perspektywy"! Że też wcześniej nie wpadłem. Oglądam pierwszy numer. Krzyżówka „Dookoła świata" ze śląską „Panoramą". Więcej wprawdzie stron, ale i cena niebagatelna. Duże zdjęcie na pierwszej stronie mówi o raczej smutnych perspektywach. Któryś z czytelników w listach do redakcji zapytuje: „Czy „Perspektywy" wywołają rewolucję w sposobie redagowania i innych tygodników?" Redakcja odpowiada: „Nie wiemy". Hej — myślę sobie — mocno zaczynają!

Już sobie chciałem pohulać, ale przychodzi numer drugi. A w nim dwa listy z gatunku tzw. drażliwych. Redaktor naczelny bierze się za temat. Owszem, owszem, argumenty przekonywające. I nazwiska już nie byle jakie. Są Podkowiński, Dziedzic, Sroga, Ikonowicz, prof. Suchodolski, Albinowski... Drugi numer znacznie odbiega od pierwszego. Z jajka od razu zrobiła się kura. Teraz czekam na numer trzeci, już zamówiłem w kiosku, bo zaczynają sprzedawać spod lady. A więc „Perspektywy" przyjęły się na rynku, a ja straciłem kolejny temat...

Kadzidło już się wypaliło. Otworzyłem okno, wtargnęło do pokoju świeże powietrze wieczorczorne. Teraz dopiero komuś wygarnę! Ale jak? Miejsce się skończyło. Została jeszcze linijka na podpis:

Jacek

Marian Karczmarczyk

Myśli prowincjonała

Lepiej, gdy zamykają przed nami drzwi, niż gdyby mieli nas wpuścić i zamknąć nam usta.

Czasem ci, co grają, muszą płacić tym, co tańczą.

I aniołów diabli biorą.

Żarty na stronę? A gdy strona też ich nie znosi?

I przy kuciu własnego szczęścia można sobie przytłuc palce.

Czasem łatwiej zamknąć czyjeś usta, niż otworzyć własne.

FELIETON Z REZERWY

Świat znany i nie znany

ZAMACH stanu w Libii nie wywołał u nas większego wrażenia. Radio Warszawa II podało 1 września o godz. 23.50 jedynie krótką informację. Być może, we wcześniejszym serwisie wiadomości wydarzenie to potraktowano szerzej. Nie słucham całego programu ciurkiem, więc nie wiem, lecz myślę raczej, że redaktorzy radiowi nie przywiązali specjalnej uwagi do wieści z Libii. Warszawa I, w dzienniku nadanym 2 września o godzinie zero, a zatem sumującym poprzednią dobę, nie zająknęła się ani słowem na ten temat. Oczywiście zamachowcy, jak to zwykle bywa, zablokowali lotniska wojskowe i cywilne oraz linie telefoniczne, co sprawiło, że z Libii nadchodziły nader skąpe wiadomości. Następnego dnia prasa przyniosła niewielkie notatki o obaleniu króla Idrisa.

Mówią, że świat skurczył się, że zmalały odległości, do czego przyczyniły się nowoczesne środki komunikacji i łączności. To chyba jednak nieprawda. Z Warszawy do Tripolisu nie jest dalej, niż do Tunisu, a znacznie bliżej niż do Algieru, Kairu, Kinszasy, czy Addis Abeby. A przecież o życiu Tunezji, Algierii, Egiptu, Konga i Etiopii wiemy wielokrotnie więcej, niż o życiu Libii. Mimo że ta ostatnia jest krajem olbrzymim, trzy i pół raza większym od Francji, pięciokrotnie od Polski. Więc jeśli nawet zmalały odległości, to nie na wszystkich trasach, a na tych jedynie, wiodących do głównych ośrodków politycznych i gospodarczych świata, do krajów, z którymi wiążą nas wspólne cele lub kontakty handlowe czy gospodarcze, wreszcie do tych, w których coś się dzieje, co interesuje szeroką opinię publiczną. W Libii zaczęło właśnie coś takiego się dziać, toteż znalazła się na łamach prasy, w następnych dniach już w szerszych wiadomościach, dowiedzieliśmy się o jej marazmie gospodarczym mimo bogactw naturalnych wydobywanych przez obce firmy, o nędzy ludności, o niewielkich perspektywach w dotychczasowej sytuacji. A jeszcze tak niedawno nazwy tego kraju nie uszczknąłeś w gazetach ani nie usłyszałeś przez radio, tak jak prawie nie spotykamy żadnych wiadomości z innych pozaeuropejskich krajów, jak Omanu, Birmy, Cejlonu, Gabonu, Malawi, Somali, Ugandy, Wybrzeża Kości Słoniowej, Nikaragui, Urugwaju, Nowej Zelandii i dziesiątków mniejszych. W samej Europie mamy Islandię, o której tak mało wie przeciętny Polak, czy Irlandię, o której do niedawna też nie było słychać. A przecież wszędzie tam żyją ludzie, uczą się, pracują, rozwijają swoje ojczyzny i wnoszą coś do skarbca ogólnoświatowego, borykają się z losem, wielu z nich ma swoje ideały tak zbliżone do naszych, choć linie ich rządów są dalekie lub nawet wrogie ustrojowi, który panuje u nas.

Zamach stanu, przewrót, rewolta, rewolucja pałacowa, rebelia... Tyle wydarzeń tego typu widzieli u siebie w ostatnich latach mieszkańcy różnych krajów Afryki i tyle wiadomości na ten temat doszło do nas, że, być może, niektórzy redaktorzy są nimi zblazowani. Ot, jeśli się nawet nie widziało osobiście, to na podstawie prasy i kronik filmowych można sobie stworzyć pewien obraz: czołgi i spadochroniarze w newralgicznych punktach miasta, godzina policyjna, trochę strzelaniny z broni maszynowej w okolicy pałacu rządowego, trochę aresztowań, po kilku czy kilkunastu dniach powrót do normy, nowi ludzie u władzy i nowa okładka programu działania, ale treść na ogół ta sama, lub niewiele zmieniona.

Wystarczy jednak odrobina wyobraźni, by pomyśleć, co w takich chwilach czują szerokie masy obywateli tych biednych zacofanych krajów, które to masy nie dojrzały jeszcze do prawdziwej rewolucji ludowej, ale już zdają sobie sprawę z tego, że są wyzyskiwane i poniżane. Może nowa ekipa rządząca będzie bardziej postępowa i uczciwa? A może wprowadzi jeszcze surowszy reżim? Ileż nadziei wiążą z takimi zmianami politycznymi, a ile obaw. I te same nadzieje i obawy podzielają chyba wszyscy uczciwi ludzie w różnych krajach interesujący się tym, co się dzieje na szerokim świecie.

Gazeta nie jest z gumy, nie zmieści wszystkiego. Ile razy odwiedzam redakcję nocną któregoś dziennika, z żalem patrzę, jak całe dziesiątki metrów taśmy papieru schodzą z dalekopisów i zaraz wędrują do kosza. Gazety mają za małe objętości, żeby to wszystko wydrukować, a brak nam papieru i bazy poligraficznej do zwiększenia objętości. Czy jednak nie można by z każdej takiej wiadomości zrobić jednozdaniowego skrótu i wydrukować? W sumie nie byłoby to więcej niż 2—3 strony maszynopisu. A z całą pewnością już mogłoby sobie na to pozwolić Polskie Radio, nie ograniczone przecież brakiem papieru. I taki komplet streszczonych wiadomości należałoby nadać przynajmniej kilka razy dziennie, m. in. o godz. 23, 23.50 i o północy. Radia, zarówno rozgłośni warszawskiej, jak i naszej, lokalnej, słucham często. Od dłuższego już czasu następuje nieustanna zmiana jakościowa audycji na lepsze, prawdopodobnie pod wpływem konkurencji telewizji. Niektóre pozycje z programu radiowego są wręcz znakomite i za takie uważam audycje „Z kraju i ze świata". Podawane one są w bardzo przystępnej formie, prawdą jest jednak, że nie zawierają przeglądu wszystkich ciekawych wiadomości, jakie nieustannie wystukują dalekopisy PAP-u, a jedynie ważniejsze, lecz za to dość gruntownie podane. Tymczasem jestem przeświadczony (i doświadczony), że z tych nie wykorzystanych można by zrobić zupełnie interesujący zestaw. (Nawiasem mówiąc, zupełnie nie rozumiem, dlaczego dziennik radiowy najuboższy jest zawsze w niedzielę w południe, gdy słucha go chyba najwięcej osób. Żeby nie podniecać ludzi przed obiadem?) Gdzieś tam wybuchają nowe gejzery, gdzieś ożyły wulkany, gdzieś na bezludnej wyspie znaleziono rozbitka, który przeżył samotnie 3 lata w warunkach naturalnych, tu susza — tam powodzie, jedni budują super-tankowce, inni przepływają samotnie ocean w wiosłowej łodzi, ci rysują plany luksusowych miast przyszłości, ci wyruszają w pionierskie wyprawy na bezkresy Syberii, lasów kanadyjskich czy moczarów nad Amazonką. Świat ma tyle barw! Znajduje się też na nim średniej wielkości kraj między Bugiem a Odrą, również pełen różnych niezwykłości, niestety, brak nam miejsca na łamach i czasu w eterze, by je dokładniej opisać.

Romuald Wiśniewski

Uwaga czytelnicy!

W związku ze zbliżającą się setną rocznicą urodzin Włodzimierza Lenina rozpoczynamy wkrótce cykl artykułów prezentujących myśl filozoficzną i polityczną Wielkiego Wodza Rewolucji Październikowej. Cykl ten może także stanowić pewną pomoc dla nauczycieli historii i wychowania obywatelskiego w szkołach średnich, a także dla samych uczniów.

W następnym numerze „Kameny" zamieścimy trzy korespondencje z zagranicy: Mirosława Dereckiego z Londynu, Ireneusza J. Kamińskiego z Bukaresztu i Jerzego Blaima ze Stambułu.

Wkrótce zamieścimy też obszerne omówienie ankiety ogłoszonej przez nas w maju b.r. celem wysondowania opinii czytelników o naszym piśmie.

Drugi październikowy numer „Kameny" będzie niemal w całości poświęcony 25-leciu powstania Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej i problematyce studenckiej. Wspólnie z Radą Okręgową ZSP zamierzamy ogłosić ankietę dotyczącą losów absolwentów wyższych uczelni.

Odpowiedzi redakcji

W. B. w Lublinie. Każde zjawisko można sparodiować, choć autor analogicznej jak nasza rubryki z „Życia Literackiego" stwierdził kiedyś, iż Niemena nie można. **„Pędy obsmykane latem"** zdają się być parodią „obrazoburczych" wierszy futurystów. **„Homo — Integer"** — częściowo także. Jako teksty z rozmaitych względów charakterystyczne oba mają pewne szanse w Poste-Restante. Wyobraźnię posiada Pan nieokiełznaną, nadzwyczaj niespokojną, dziką nad miarę. Może by ją trochę uporządkować i zabrać się do poezji bardziej serio i bardziej... pokornie. Bez tych wyniosłych póz proroczych. Do postawy wieszcza dochodzi się zwykle po latach i na drodze autentycznych przemyśleń, a Pan chce od niej zaczynać, omijając całkowicie etap bardziej kameralnych, intymnych doświadczeń poetyckich. To nie jest dobry start, bo nie wypływa chyba z tzw. wewnętrznych konieczności początkującego autora, ale ze sztucznie narzuconej sobie pozy. Może Pan jeszcze na etapie młodzieńczej pogardy dla świata? Oczytania, tak czy inaczej, gratulujemy.

R. G. w Toruniu. Ujęła nas Pańska skromność, wiersze istotnie nie nadają się do druku. Znać, że autor to bardzo młody człowiek, przeżywający właściwe swemu wiekowi „smutki kosmiczne", naiwne w gruncie rzeczy wzruszenia, które znajdują rozładowanie w twórczości poetyckiej („**twórczości**"). Ten etap przeżywa każdy co bardziej wrażliwy młodzian. Dwadzieścia parę lat życia to górna granica zakończenia owego etapu. Jak dotąd, perspektyw na rzetelną poezję — brak. Za słabe rozeznanie świata, ze wiele sentymentalnego — wbrew pozorom — gadulstwa, nieporadności językowych, karkołomnego obrazowania, np. **„spuszczone chude nogi/ obute w starcze twarze"...**

R. S. w Lublinie. Na wyczerpującą, a w każdym razie jakoś wiążącą ocenę jeszcze za wcześnie. Za mało materiału na to. Ale powinien Pan nadal próbować pisania (w stylu wiersza „oboje"); może też czytać współczesną poezję? Mamy nadzieję, że za jakiś czas **„tfu-rczość"** w twórczość się przemieni, czego serdecznie życzymy i w co wgląd chcielibyśmy mieć. Proszę tylko unikać „szantażowania" tematem (wiersz **„faszyści"**).

W. J. w Suchedniowie. Z pewnością włożył Pan wiele serca i czasu w wierszowane manifestacje własnej postawy patriotycznej oraz także wspomnienia z września 1939 r. Naszym wszelako zdaniem — o wiele pożyteczniej byłoby spisać prozą pamiętnikarską Pańskie jak najbardziej osobiste przeżycia i obserwacje z tego okresu. Bez patosu, górnolotnych okrzyków — rzetelna relacja tylko. Sądząc jednak z przyjętego trybu wypowiedzi, ze skłonności ujawnionych w poemacie, trudno z tym będzie. Nie chcielibyśmy zaś nikogo namawiać na trud bezmierny a daremny. Jak przy okazji widać — z nadesłanego tekstu nie jesteśmy skłonni skorzystać, a w możliwości innego, całkiem odmiennego, ośmielamy się wątpić.

R. B. w Annopolu. Sądząc z próbek **„wierszem napisanej tragifarsy w stylu antycznym"**, nie będziemy w stanie zainteresować się tym utworem, ani go wydrukować. Pisze Pan ponadto: **„Co do maszynopisu oryginalnej teorii sztuki, tego jeszcze nie posiadam, jest ona integralną częścią mojej teorii filozoficznej, tzw. teorii orientacji, którą chciałbym sprzedać jakiemuś wydawnictwu w charakterze curiosum na obszarze filozofii, wynika z niej bowiem niezbicie, że wszyscy żyjący przed mną filozofowie mieli rację częściowo, tylko ja, niżej podpisany, mam rację absolutną".** Gratulujemy „absolutnej" pewności siebie. Ośmielamy się zauważyć, iż jest to postawa bardzo niewspółczesna. Dziś człowiek po wielu tragicznych a rozmaitych doświadczeniach nie jest już tak pewien spraw swoich. Oczekujemy na edytorskie efekty planowanych przetargów.

KONKURS DLA FOTOAMATORÓW

„Nad morzem" Fot. Kazimierz Chwiejczak